



Kamena

NR 4 (876)

22 lutego 1987

Cena 20 zł

Operować trzeba codziennie

Rozmowa z prof. Pawłem Misiuną

— Trzydzieści cztery lata temu, jeszcze jako student przedostatniego roku lubelskiej Akademii Medycznej, zaczął pan pełnić obowiązki asystenta w ówczesnej II Klinice Chirurgicznej szpitala przy ul. Staszica, którą kierował wybitny praktyk i pierwszy rektor tej uczelni, profesor Feliks Skubiszewski. Był on później promotorem pańskiego doktoratu i patronem habilitacji — no a teraz mam przyjemność rozmawiać z profesorem Misiuną, który od października 1986 roku, co także wymowne, jest kierownikiem II Kliniki Chirurgii ogólnej, wywodzącej się w prosty sposób z tamtej jednostki. Można zatem powiedzieć, że dopełnił się pewien cykl pokoleńowy, naruszony tylko faktem kierowania przez pana, od 1971 roku, Kliniką Chirurgii Naczyń, znajdującą się przecież dotąd w tym samym, permanentnie reszta remontowanym i sklejonym, budynku przy ul. Staszica 16. Można jeszcze powiedzieć, że przez te długie lata pracy zyskał pan opinię znakomitego chirurga i przyzwoitego człowieka, co nie zawsze idzie w parze. Ale ja mam ochotę rozwinąć inny wątek, dotyczący sprawy takim pytaniem: czy chirurg z długim stażem przystępuje do kolejnej operacji bez żadnych emocji, jak do roboty rutynowej, dokładnie określonej znanym mu planem? Proszę wybaczyć, ale wiadomo, że niektórych chirurgów zwie się dosadnie „rzeźnikami”.

— A wie pan, jak zwie się niektórych dziennikarzy? Gdybyśmy na podstawie spraw incydentalnych chcieli formułować prawdy ogólne, to pogubilibyśmy się na tym naszym świecie, i tak zammatowaliśmy, dokumentnie. Zwykle każdy chirurg, na swój sposób, przeżywa każdą operację i nie ma tu mowy o jakimś przedmiotowym, chłodnym, zdystansowanym traktowaniu pacjenta. Jeśli jednak chirurg zauważy u siebie oznaki zubożenia, to powinien odstąpić od wykonywania operacji. Zrezygnuj z ręki i skalpel stanowią tylko elementy naszego postępowania, owszem, bardzo ważne, powiedziałbym, że spektakularne, ale przecież nie jedyne. W naszej klinice zajmujemy się chirurgią przełyku, jelita grubego, trzustki, tarczycy oraz żołądka, w ramach rządowego programu walki z nowotworami, lecząc oczywiście i inne schorzenia tych organów. W ogóle przyjmujemy wszystkie „przy-

padki chirurgiczne” z rejonu Lublina i Bychawy, jako że za ten właśnie teren odpowiadamy. Wąskie specjalizacje uprawiamy w nauce, natomiast w praktyce szpitalnej dobry chirurg powinien sobie poradzić z każdym przypadkiem. Trzeba przy tym wiedzieć — powracam do głównego wątku rozmowy — że człowiek zagrożony nowotworem, z czego nie zdaje sobie jeszcze sprawy, wymaga od nas zróżnicowanego postępowania. Osobom mocnym psychicznie mówię wprost, jak rzecz wygląda, i nie ukrywam, że tylko operacja daje im szansę przeżycia i wyzdrowienia. Natomiast ludziom o słabej strukturze psychicznej inaczej przedstawiam sytuację, w odmienny sposób nakłaniam ich do poddania się operacji. Myślę, że bez praktycznej znajomości psychologii nie można być dobrym chirurgiem.

— Kiedy przeprowadził pan pierwszą poważną operację?

— Dokładnie nie pamiętam, ale gdzieś około 1960 roku. Był to przypadek o tyle trudny, że pacjent cierpiał dodatkowo na fatalne skrzywienie kręgosłupa, podczas gdy ja miałem zająć się jego przełykiem. Co ma wspólnego przełyk z kręgosłupem? Widocznie ma, skoro koledzy nie przepychali się, by wykonać zabieg. Tymczasem chory świetnie zniósł moją „inicjację”, mimo że trwało to cztery godziny.

— Czy przerywa pan operację, by odsapnąć, napić się kawy, wypalić papierosa?

— Z reguły nie, no może tylko wówczas, kiedy operacja trwa sześć lub siedem godzin. Po papierosy jednak nie sięgam, od wielu lat. Kiedyś wypalałem do 80 sztuk dziennie, ale w porę zrezygnowałem z tej „przyjemności” — w sytuacji niezwykłej, bo pod koniec przyjęcia w restauracji „Europa”, dokąd po uzyskaniu habilitacji zaprosiłem swojego patrona oraz profesorów — recenzentów

Lubelskie sylwetki



Fot. Zbigniew Jaśkiewicz

mojej pracy: Drewsa, Onyszkiewicza i Osackiego. Pełniąc honory gospodarza, troszczyłem się, co zrozumiałe, o to, aby goście czuli się dobrze. No i pa-

Dokończenie na str. 8

— Co to znaczy: szkoła czystych serc?

— Szkoła bez strachu, bez upokorzeń, bez zostawiania na drugi rok i życia w dwójkowej zmorze. To od tego właśnie uczniowie uciekają w narkomanie.

— Łatwa szkoła?

— Mądra szkoła. Można zrobić mądrą szkołę, to nie jest niemożliwe. Szkoła jaka jest — to miejsce nieudolnego nauczania. I potwornego zakłamania.

(Marek Kosiński w rozmowie z Barbarą Piłkiewicz, „Polityka” nr 2/87)

— I co ty na to?

— To wszystko prawda, pozostawiając na boku całą otoczkę tej wypowiedzi. Bylem niedawno uczestnikiem dyskusji, w której powiedziano, że szkoła i Kościół to dwie najbardziej konserwatywne instytucje w naszym kraju. Chodziło o formy funkcjonowania i stosunek głoszonych zasad do dynamiki cywilizacyjnego rozwoju świata. Zadrzałem. Wszak obie firmy, jedna z naturalnej powinności, druga zaś z aspiracji do „rządu dusz”, pretendują do odpowiedzialności za sterowanie młodym pokoleniem. Zostawmy drugą. Struktura polskiej

szkoły tkwi w osiemnastym i dziewiętnastym wieku. Od czasów światłych reform księdza Konarskiego niewiele się zmieniło. (Nawet szkółki parafialne przeżywały swój renesans.)

— A poważnie?

— Najpierw jest marazm organizacyjny. W dobie pełnego usamodzielnienia oświaty w innych krajach, w

obliczu wielowiekowej niezależności uniwersytetów, nasze szkolnictwo w wymiarze podstawowym i średnim pozostaje spętane strukturą instytucji kontrolujących proces nauczania, a pozostających od niego w jak największym oddaleniu. Nie istnieje chyba inna ważna dziedzina, gdzie by, jak w szkolnictwie, grupa urzędniczych teoretyków kształtowała prakty-

— Kadra. To jedno z najsłabszych ogniw całego procesu. Zdaję sobie sprawę ze złożoności przyczyn, niemniej to fakt. Najpierw sama profesja straciła wiele ze swego dawnego prestiżu. Coraz mniej pasjonatów i ludzi z powołania trafia do zawodu. Zlikwidowano licea pedagogiczne — naturalną przystań dla ludzi o właściwych predyspozycjach. Kształcenie

Lament nad szkołą

Henryk Więclawski

kę najprawdziwszego życia. Takie wizytacje inspektorów-metodyków. Nic z nich przecież nie wynika. Kilka zdawkowych uwag, śmieszne zalecenia. Podstawa do wypłacenia metodykowi pieniędzy. Kuratoria i inspektoraty powinny pełnić wyłącznie administracyjno-koordynującą rolę, trzymając się jak najdalej od praktyki nauczania.

— Po drugie...

pedagogiczne na wyższych uczelniach ma charakter marginalny, do SN-ów trafiają zaś głównie „nieudaczniki”, którym nie powiodło się gdzie indziej. Stąd ludzie przypadkowi, wiedzeni chęcią czasowego „zaczepienia się” gdziekolwiek, lub kobiety, traktujące tę pracę jako okazję do towa-

Dokończenie na str. 9

z notatnika

8.II. Kilka razy w roku otrzymuję paczkę z Rzeszowa, a w niej książki wydane staraniem tamtejszego oddziału Krajowej Agencji Wydawniczej. Jest wiele, jakże potrzebnych, lektur szkolnych, są utwory miejscowych twórców (i tak np. w 1985 r. ukazał się interesujący zbiorek poetycki Jolii Barylanki, a ostatnio — Jerzego J. Fafary i Jana S. Lipińskiego). Niektóre pozycje są dotowane przez Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego, rzeszowskiej filii UMCS („Rady Narodowe, administracja, samorząd” — praca zbiorowa pod redakcją Edwarda Ury), Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej („Ruch robotniczy w regionie przemyskim 1878—1948” Zdzisława Koniecznego), Urząd Miejski w Mielcu („Mielec, dzieje miasta i regionu”, t. I pod redakcją Feliksa Kiryka). Oczywiście niejedną może „wydziwiać” na „rozrzutność” środków społecznych. Ba! Chciałbym, aby jak najwięcej było tego typu „marnotrawstwa”. Pewne książki mogą służyć pokoleniom, stanowić dokumentację czasów przeszłych i teraźniejszych, nie są to bowiem prace przeznaczone jedynie dla współczesnego czytelnika. Dobrze, że rzeszowska KAW, jedyny edytor w tym mieście, tak ściśle związana jest z regionem, co wcale nie przeszkadza jej w drukowaniu rzeczy mogących mieć znacznie większą liczbę odbiorców. Wiesław Kot przygotował właśnie dwa tomy antologii wierszy dla dzieci pt. „Szedeł czarodziej”, napisanych przez 93 autorów. Rzecz zrozumiała, że tego rodzaju antologia musi odzwierciedlać indywidualne gusta redaktora, zawsze można mu zarzucić, że taki czy inny utwór pominął, że nie uwzględnił w wyborze twórczości X-a czy Y-a, ale dokładna analiza niech już będzie sprawą znającą się na rzeczy recenzenta. Niezależnie od jego opinii ja gwarantuję, że ów idący czarodziej długo nie zagrzeje miejsca na półkach księgarskich.

Z kolei lubelski oddział KAW-u wydał ostatnio m.in. zbiór reportaży Zbigniewa Miazgi pt. „Tam, gdzie diabeł pilnuje okowity”. Prace te powstały w latach 1969—74, stanowią więc piętnastoletni dorobek autora, aczkolwiek większość spośród nich pochodzi z lat osiemdziesiątych (ściśle dziesięćdziesiątych, bo o rzeczach napisanych np. w roku 1993 powinno się mówić: w latach dziesiątych; popularny błąd zadomowił się solidnie w środkach masowego przekazu i w ludzkiej świadomości). Książkę przejrzałem pobieżnie (jako że dopiero w tych dniach ją otrzymałem), zaczynając lekturę od końca, czyli od reportażu poświęconego Bilgorajowi. Autor szczególnie ciepło potraktował postać niezapomnianego Józefa Dechnika, który położył obrzytmie zasługi dla rozwoju tego miasta. Sądzę, że byłoby warto — i do tego Zbigniewa Miazgę serdecznie zachęcam — temat rozszerzyć. Józef Dechni-

nik, jak rzadko kto, zasługuje nawet na osobną książkę. Póki żyją ludzie, którzy wyrosli u jego boku, którzy stykali się z nim na co dzień, materiału nie powinno zabraknąć. Wzorców osobowych nie musimy przecież szukać zbyt daleko, choć najciemniej pod latarnią. A swoją drogą szkoda, że Miazga, bystry obserwator życia, jakby ostatnio zaniedbał ten gatunek dziennikarski, w którym, jak sądzę, czuje się najlepiej.

Byłoby dobrze, gdyby lubelski KAW kontynuował edycję podobnych zbiorów. O ile mi wiadomo, jest w przygotowaniu konkursów „Sztandar Ludu” i „Kamień” na reportaże. Niezależnie jednak od tego znalazłbym w Lublinie przynajmniej kilku autorów, którzy mogliby już dziś samodzielnie zaprezentować swoje prace. Zdaje sobie sprawę, że reportaż trzeba hołubić, zwłaszcza że poszczególnym wydawnictwom raczej trudno na nim zarobić. Mamy jednak Lubelskie Towarzystwo Przyjaciół Prasy, które mogłoby w jeszcze większym niż dotychczas stopniu wspomagać tego typu inicjatywy (pamiętam i jestem wdzięczny Towarzystwu, że sfinansowało kamienowy konkurs na reportaże).

Gdy już o wydawnictwach mowa... Dopiero odpowiednio zaproszenie przypomni mi o szybko zbliżającym się trzydziestolecu Wydawnictwa Lubelskiego (jak ten czas leci, jeszcze niedawno świętowaliśmy dwudziestolecie!). To osobny temat, zrobimy, choć z opóźnieniem, co trzeba, nie tylko dlatego, że niektórzy spośród nas od czasu do czasu też z WL współpracują. Na razie — serdeczne życzenia i uścisk dłoni dyrektora Ireneusza Cabana!

14.II. Przeczytałem to, co przed kilkoma dniami napisałem, i tak sobie myślę, iż moi wierni czytelnicy, a mam takich, o czym świadczy serdeczne liście, i to nawet z drugiego końca Polski (dziękuję przy okazji!) zdziwią się: dlaczego Jaworski taki grzeczniutki, nikogo nie podgrzyza, nikogo nie „poucza”? Czy przypadkiem ktoś z góry go nie ustawił, a może zmęczyła go już walka z wiatrakami? Nie, ja po prostu zwykłe na gorąco wyrażam to, co myślę. Nie każdemu spośród nas zawsze wszystko się udaje, bywa, że uda się to, a nie uda tamto, nikt nie jest idealny. I dobrze, bo wówczas żyłoby się nam nudniej.

Nie mniej widzę wokół siebie wiele draństwa i wiele też bezradności. Mimo pięknie brzmiących ustaw nie ubywa pasożytów, kolejni przed stoiskami z wódką wydłużają się, izba wytrzeźwień trzęsie się w szwach i z kasy miejskiej trzeba do niej kilka milionów złotych rocznie dopłacać. Tymczasem w styczniu ulice naszego miasta przypominały trasy narcisarskie. Wszyscy jakby czekali aż słoneczko mocniej przygrzeje, powieją cieplejsze wiatry i problem sam się rozwiąże. Udało się, choć warto obliczyć, ile zużyto gipsu dla ratowania nadwernoznych gnatów, ile stracono dniówek roboczych na skutek zwolnień lekar-

skich. Prasa pisze swoje, a życie toczy się po odrębnych koleinach. Człowiek na człowieka patrzy wilkiem, niektórzy, nowi ludzie na starych urzędach przyjmują manery swych poprzedników, podejmują błędne decyzje, z których później trudno się wycofać, bo wycofanie się też może w jakimś sensie stanowić złamanie prawa.

Wspominałem już w tym miejscu o głośnej sprawie garaży lubelskich, czym zajął się „Trybuna Ludu”. Ponieważ stwierdziłem, że dziennikarz warszawski z pewnością znalazłby podobne przykłady w stolicy, niektórzy posadzili mnie, że występuję w obronie właścicieli garaży. Zdecydowanie się od tego typu insynuacji odcinam. Ale trafnie rzecz ujął właśnie Zbigniew Miazga we wspomnianym reportażu dotyczącym Bilgoraja. Kiedy tam pojechał i spotkał się ze znanym nie tylko na tamtym gruncie i adwokatem i historykiem, dr. Jerzym Markiewiczem, ten go zapytał wprost: „Dlaczego zawziął się pan na Bilgoraj? A może by tak opisać stosunek zamojskie, albo jeszcze lepiej lubelskie. Ale to, redaktorze, chyba niewygodne? Bezpieczniej jest Bilgoraj...”

Właśnie! Więcej można niekiedy zobaczyć w świecie lubelskich lamp z żarówkami niż warszawskich z jarzemiówkami. Ale z drugiej strony co głos z Warszawy, to z Warszawy, a zwłaszcza, gdy pada z najwyższej Trybuny. Ruszyło się, a przecież o tych samych garażach pisał przed dwoma laty „Sztandar Ludu”? I co? Zrobiło to na kimś jakiegokolwiek wrażenie? Zatrzęsło się w Ratuszu, czy gdzie indziej?

Charakterystyczne, że im w miejscowej prasie więcej tekstów krytycznych, tym mniej na nie odpowiedzi. Poszczególne instytucje zafundowały sobie rzeczników prasowych, którzy często zachowują się niczym pies na łańcuchu: pilnują, aby ktoś z zewnątrz nie zakłócił spokoju pryncypała. (Dziwić się, skoro własnego rzecznika prasowego ma nawet ubiegłoroczna Miss Polonia?).

W ostatnich dniach prezydent Dziennika Telewizyjnego triumfalnie oznajmia, że takie to a takie województwo, a konkretnie wojewoda lub inna Wysoka Instancja podejmują uchwały o dniach bez porad. Jeśli się nie mylę, najdalej poszedł w tym względzie wojewoda siedlecki: w tym mieście będzie można konferować jedynie w soboty. Czekać, tatko, latka, zobaczymy, co się stanie, gdy słoneczko mocniej przygrzeje. Czy wówczas zielona trawka, czerwoną wisienką nie będą bardziej kusić niż plusze na stołach? Dziś usłyszałem w TV, że jeszcze w 43 województwach nie podjęto na ten temat stosownych decyzji. Pamiętam, że kiedyś tego typu decyzje zapadały na samej górze: premier Jaroszewicz prowadził nie tylko pociągi pod własnym nadzorem, gdy śnię zbył mocno posypał. Dziś inicjatywę pozostawia

się terenowi. Czy to coś pomoże? Przyszycaliśmy się do różnego rodzaju porad, konferencji, kursokonferencji (przeważnie w malowniczych ośrodkach), posiedzeń, sesji. Zbierze się gromada mniej lub bardziej zadbanych, mniej lub bardziej inteligentnych panów i pań, często zresztą tych samych, posłuchają, poczytają to lubo tamto z kartki, aby wszem i wobec udowodnić, że definitywnie pokonałszy już analfabetyzm, protokółanci spręparują odpowiednio dokumenty, czasami nawet stenogramy, trafiają papierzyśka do przepastnych biur, a stąd już prosta droga albo do archiwów albo do punktu skupu makulatury. Ta ostatnia jest nawet poszukiwana, można za nią dostać papier toaletowy, a w tym przedmiocie nie się nie zmienia...

Trwają utyskiwania na młodzież. A czy dzieci nie podglądają rodziców? Nie widzą, że często ci rodzice prowadzą podwójne życie, inaczej mówią oficjalnie, a inaczej w czterech ścianach?

Siedemnaście lat budujemy szpital w Lublinie, chyba niewiele krócej wznosimy gmach teatralny, nad którego odpowiednim zagospodarowaniem dopiero teraz się myśli, a przecież wszystkie kłopoty dopiero przed nami! Nie zazdrościć Andrzejowi Rozhinowi (z którym Lidia Wójcik może się w wielu wypadkach nie zgadzać, jej prawo), co robi, gdy nadejdzie ów dzień X, dzień wielkiej przeprowadzki. Już dziś do każdego widza, który przychodzi na spektakl, dopłaca się ponad tysiąc, dwa, a nawet trzy tysiące złotych, zależnie od teatru. W dobie reformy przedsiębiorstwa państwowe coraz mniej świadczą na kulturę, o inicjatywach i hojnej ręce wielkiego miłośnika sztuki, niegdysiejszego dyrektora puławskich „Azotów”, Kołodzieja, można dziś opowiadać legendy, ale to i tak już tylko historia. Ile będzie kosztować utrzymanie nowego teatru? Kto wysypia odpowiednie fundusze? A teraz za sprawą „Tempa” wypłynęła sprawa innego „teatru”: I-ligowego klubu piłkarskiego „Motoru”, który ma już ponad siedemdziesiąt milionów złotych deficytu (dane z Panoramy Lubelskiej). Kto uratuje bankruta, skoro i tak jest potłuczona, czerwoną latarnią tabeli?

Ja tu tak sobie gadu, gadu, a właśnie przeczytałem, nawet nie pamiętam gdzie, że rakiety nuklearne, wystrzelone z jednego, podkreślam — jednego okrętu podwodnego mogą spowodować więcej zniszczeń materialnych, mogą unicestwić więcej ludzi, niż zginęło ich we wszystkich wojnach, które od zarania dziejów toczyły się na naszym globie. Wizja Apokalipsy! Ale co: mamy, jak w tym dowcipie, narzucić na siebie białe prześcieradła i powoli, aby nie wzbudzić paniki, czolgać się w stronę cementarza? Zdajemy! Każdy zdaje, więc bez tłoku, panie i nanowie!

M. A. Jaworski

Wśród Polaków za Olzą (II)

Z rodu Milerskich

MALY, drewniany domek w Nydku, kilka kilometrów od polskiej granicy. Tu kończy się boczna droga od Bystrzycy — dalej jest licząca prawie tysiąc metrów góra; która w czeskim atlasie zwie się Vel. Cantoryje, a więc po polsku chyba Wielka Czantoria; nie mam naszej mapy, aby sprawdzić dokładnie. Na podwórku stara kobieta energicznie rąbie drzewo.

— To moja matka — mówi Aniela Kupiec, miejscowa poetka. — Idzie jej do setki...

Przebiła Marię Bechezyc-Rudnicką, myślę sobie!

Pani Kupiec wita mnie, gościa, i czującego się tu jak na własnych śmieciach, Piotra Przeczka, naczelnego redaktora miesięcznika „Zwrot”, ukazującego się w Czeskim Cieszynie po polsku (co jeszcze raz przypominam czytelnikom) gościnnie, to znaczy mlekiem i ciasteczkami. Wyjmuje swoje ostatnie utwory, czyta je, wsłuchuje się w tutejszą mowę:

„Piesniczko naszo, piesniczko ludowo, Ty umiesz mówić, i śmiać się,

... i smuć się,

Pięknieszczą mosz nute, najmilisz two

słowo,

Ty możesz złe chwile na radość

obrócić...”

— Piszę od bardzo dawna — mówi. Nie miałem ze sobą (a szkoda) magnetofonu, więc jej uwagi przekazuję teraz po językowej „obróbie”...

— Muszę pisać, aby oddać to, co odczuwam. Czytam swe wiersze ludziom, niektóre drukowała miejscowa prasa.

Nie przepadam za poezją ludową, ale w tych wierszach, zwłaszcza czytanych przez autorkę, słiwającą panią po sześćdziesiątce, o spracowanych dłoniach jest jakiś ciepło, a niektóre skojarzenia chwilami zaskakują.

Rozglądam się po pokoju. Sporo polskich książek, jest encyklopedia zbiorów wierszy, powieści, głównie dawniejszych, wybitnych polskich autorów.

— Coraz trudniej kupować polskie książki. Bardzo są u nas drogie — Wiedziałem już o tym, bo oglądałem księgarnię w Czeskim Cieszynie.

Moją uwagę zwraca odbity na powielaczu dokument: historia rodu Milerskich. Okazuje się, że właśnie z tego rodu pochodzi nasza gospodyni. Stary to ród, wywodzący się z XVII wieku.

Wieś Nydek powstała w XV wieku. Zapoczątkował ją folwark zbudowany przez księcia cieszyńskiego. Nad potokiem Gluchówką zaczęły dymić milerze, prymitywne urządzenia do odgazowywania drewna oraz produkcji węgla drzewnego, smoły i dżalegu. Dowiaduję się, że lud na Śląsku Cieszyńskim mówi milerz, a nie miler, podobnie jak piniądz, a nie pieniądz, dlatego też najstarszy zmany tworca rodu, pochodzący właśnie z Nydka, nazywał się Paweł z Milerza. Początkowo pisywano różnie: Mileczów, Milirsky, Mylerski. Nazwisko Milerski po raz pierwszy pojawiło się w zachowanych do dziś księgach kościelnych w 1679 r. Zanotowano wówczas imię i nazwisko ojca chrzestnego, które brzmiało: Tomasz Miler-ski.

Paweł z Milerza nie marnował czasu. Z pierwszą żoną, Jadwigą, miał pięcioro dzieci, z drugą, Zofią, dziecioro. Ostatnie z nich urodziło się 3 sierpnia 1707 roku.

Dziś znanych jest 31 rodzin wywodzących się od wspólnego pnia, żyją oni po jednej i po drugiej stronie granicy, wiele spośród nich utrzymuje z sobą kontakty.

— Gdy przyjadę do Polski — mówi pani Aniela Kupiec — czuję się jak w rodzinie. No bo i jesteśmy jedną wielką rodziną, choć nie zawsze mamy jednakowe paszporty...



Aniela Kupiec
Fot. M. A. Jaw.

Jest to temat dla reportera, w pełni wykonalny, bo są przecież dokładne adresy, a nawet telefony poszczególnych osób. Gdyby tak władze naszego, polskiego Cieszyna (przy współpracy z ambasadą czechosłowacką w Warszawie) wystąpiły z inicjatywą zwolnienia wielkiego zżółdu rodzinnego, co to byłoby za święto!

Sprzedając pomysł red. Kazimierzowi Kaszperowi z redakcji „Głosu Ziemi Cieszyńskiej”, ale w razie jego realizacji proszę nie zapomnieć o zaproszeniu niżej podpisanego!

M. A. Jaworski

Miasto Łódź ma Rubinsteinów

(Dokończenie z poprzedniego numeru)

Irena Filus

NAJBARDZIEJ chyba podobna do swego sławnego ojca jest najstarsza Ewa. Te same rysy twarzy, to samo spojrzenie jasnych oczu otoczonych cieniutkimi zmarszczkami. Ewa Rubinstein, jak i reszta rodziny, wygląda bardzo młodo. Ale po gichtaku przynajmniej do kilkumiesięcznego wnuka. Jest bardzo zaprzyjaźniona z Łodzią, a to kilkuletnie uczucie zaowocowało przepięknym albumem fotograficznym:

— Łódź ma taką duszę, której nie czuję ani w Paryżu, ani w Londynie, ani w Warszawie. Dużo podróżowałam po Polsce, byłam nawet na wsi, ale tylko w Łodzi czuję się jak u siebie. Myślę, że przede wszystkim za sprawą ludzi.

— Czy ktoś z rodziny państwa tutaj jeszcze mieszka?

— Kuzynka matki, Orłowa, wdowa po profesorze śpiewu. To taka sympatyczna staruszka. Kiedy idę do niej, nie mówi, że brak jej papieru toaletowego, tylko o Prouście. Lub deklamuje wiersz Puszkina.

Pani Ewa, jeźdźca z rodzeństwa, posługuje się językiem polskim. Mimo że urodziła się w Buenos Aires, najdłuższą przebywała z rodzicami, miała polską niankę, John Rubinstein, pytany ciągle o to, dlaczego nie zna polskiego, odpowiada:

— Ja i siostra Alina urodziłyśmy się w Stanach. Rodzice doskonale mówili po angielsku. Musieli się tak zwracać do naszej angielskojęzycznej niani. Chodziłem do szkoły amerykańskiej. Naturalnie, w domu nie zapominało się o polskim, ale rodzice na swój sposób strzegali swego języka. Choć ciągle trwał obok nas, jak muzyka. Więc dużo rozumiem.

Pierwsze dziecko. Dla blisko pięćdziesięcioletniego ojca, na dodatek artysty, było to duże przeżycie: „Pracowałem mniej niż zwykle wskutek moich wyimaginowanych zajęć jako przyszłego ojca; ale nigdy nie grałem lepiej na koncertach. Boska sztuka muzyki jest tą jedyną, która daje nam, interpretatorom, sposób przekazywania naszym najgłębszym uczuciom wrażliwym słuchaczom. Publiczność argentyńska wyczuwała stan subtelnej inspiracji, w jakim się znajdowałem, bardzo wzmogły się przez to sukcesy zarówno w Argentynie, jak i w Urugwaju. [...] Nawet teraz mogę przysiąc, że był to najstraszliwszy moment w całym moim życiu... Potem usłyszeliśmy jedyny w swoim rodzaju głos nowo narodzonego człowieka. W tej chwili zapłakałem spazmatycznie i byłbym upadł, gdyby pielęgniarki nie podprowadziły mnie do krzesła”.

W teatrze Colón wystawiano wówczas „Śpiewaków norymberskich” Wagnera. Partię Ewy śpiewała niemiecka sopranistka Frieda Hempel. Rubinstein był nią oczarowany. Więc po powrocie do domu, gdy opowiadał żonie wrażenia, wpadł na pomysł, by nadać swej córce imię Ewa. Jej przeznaczeniem miał być taniec: „Moja mała Ewa była kapryśnym dzieckiem. Była bardzo ładna i wdziękna, i wcześniej zdradzała talent do tańca. Kiedy tylko była w złym humorze, wystarczyło, że ja i Nela zatańczyliśmy kilka kroków, a już zrywała się na nogi i naśladowała nas we właściwym rytmie. Gdy miała cztery lata, zaczęła brać lekcje tańca. Jej nauczycielką, słynną polską tancerką Matyldą Krzesińską, była eks-kochanka cara Mikołaja II. To z balkonu jej pałacu w St. Petersburgu Lenin codziennie przemawiał do tłumów... Po rewolucji zamieszkała w Paryżu”.

— Bardzo dawno temu byłam tancerką i aktorką na Broadwayu potem przez 12 lat zamężną z bardzo ciekawym człowiekiem, pastorem. Miałem troje dzieci. Nikt nie wie, ale dziś jest także jeszcze jedna rocznica — czwarta, śmierci mojego syna — dodaje cicho Ewa Rubinstein. — Zginął w wypadku samochodowym. Chciał być prawnikiem. W 1963 roku przeprowadziłam rozwód, a rok przedtem zaczęłam fotografować. I to stało się moją szaloną pasją, ponieważ taniec, gra na scenie są ulotne, a fotografia pozostawia ślad. Na początku nie traktowałam mego hobby zbyt

poważnie, nie wiedziałam, czy coś z tego wyjdzie. Jednak dużo pracowałam dla różnych agencji. Później orobowałam bardziej osobistych rzeczy: portrety, wnętrza. Zajęło mi to około dwudziestu lat. Teraz pracuję w Szkole Filmowej w Łodzi. Prowadzę zajęcia przy pomocy fotografii. Robię to także w innych krajach.

Zdjęcia z rodzinnego archiwum stanowią zbiór imponujący. Są swoistą sagą rodzinną. Jeszcze niezupełnie uporządkowane, służą teraz jako scenografia dla filmu. Na chwilę wyciągnięto je z kufra, bowiem ekipa amerykańskiej telewizji kręci film o Arturze Rubinsteinie. Nie wiele się zaadaptowało dla ich potrzeb. Ustawiono kilka rekwizytów. Obok oani Neli stoi wpatrzona w swego brata,

sobie na dłuższe. Ale nigdy nie przesadzał. Cygareto był cały rytuał. Zapalał się je bardzo wolno. Sama, dopiero z czasem, nauczyłam się je rozgrzewać. Zdarzało się również, podczas nagrywania płyt, że słuchając jakiegoś fragmentu, Artur zapalał cygareto, powoli się nim delektował a po chwili siadał znów do fortepianu. Wtedy ja musiałam uważać, żeby nie wygasło, bo kiedy zamrze robi się obrzydliwe.

Wspomnienia... Tyle ich pozostało, że chociażbyśmy siedzieli do rana, pytaniem nie byłoby końca:

— Z kolejnych pobytów pani męża w Łodzi pamiętamy charakterystyczny ruch, jakim zdejmował z głowy kapelusz...



Repr. Zbigniew Jaskiewicz

niemal rówieśnika, Alina. Jest psychiatrą. Gra znakomicie na pianinie, lecz tylko dla przyjemności.

Dzień, w którym druga córka przyszła na świat, zapisał się szczególnie w pamięci artysty. Przebywał w Filadelfii, grając z tamtejszą orkiestrą pod batutą Eugene Ormandy. Podeszła próba otrzymał telegram: „Dzisiaj rano urodziła się nasza córeczka”. „Wydałem radozny okrzyk: Mam córkę! Zamiast oczekiwanych gratulacji usłyszałem głos skrzypki: — Gdzie są cygarety? Widząc moje zdumienie, Ormandy wyjaśnił: — W Ameryce po urodzeniu dziecka ojciec powinien poczęstować przyjaciół cygarami. Podczas przerwy pobiegłem do sklepu z cygarami, na rogu ulicy. Z wyborem cygar miałem pewien problem. — Wszyscy wiedzą — myślałem — że palę tylko najlepsze. Czy mogłem dać im gorsze? Nie. Kupiłem dwa pudełka mego gatunku, wróciłem pospiesznie, otworzyłem pierwsze pudełko i gdy orkiestra zebrała się znowu, wyciągnąłem je, otworzyłem, do koncertmistrza: — Moja córeczka częstuje pana cygarami”.

— Czy to prawda, że pan Artur nie rozstawał się z cygarem i sięgał po nie zaraz po wstaniu z łóżka? — pytano panią Neli.

— Ależ nie podobnego! Cygareto były potem, po pierwszym śniadaniu, po obiedzie, po kolacji, a czasem po koncercie. Gdy dobrze grał, to pozwalał

— Nie jest to żadną tajemnicą, bo bez przerwy o tym mówił. Mimo łysiny, tak kunsztownie zaczesywał włosy, że publiczność podziwiała jego fryzurę. Ale nikt nie mógł jej dotknąć. Pamiętam dwa takie zdarzenia. Pierwszy raz na Kubie. Grał z orkiestrą na placu przed kościołem i nagle zerwał się bardzo silny wiatr. Artur był w rozpacz. I wtedy wpadłam na pomysł założenia mu na włosy cieniutkiej siateczki. To go uratowało. Drugi raz, w czasie koncertu w Nowym Jorku, wiatr zaczął rozwiewać mu włosy, co spowodowało, że pochylając się ciągle na jedną stronę, pod koniec znalazł się prawie pod fortepianem. Później, na całe szczęście, wynaleziono lakier do włosów. Przydał mi się również do skrapiania klawiatury. Artur miał bardzo suche ręce i palce obsuwały mu się, szczególnie z czarnych klawiszy.

Rubinstein-junior patrzy na pamiętki rozrzucone wokół niego i dziwi się, skąd tego tyle. Niektórych rzeczy nie widział na oczy. Ze wzruszeniem przygląda się rodzinnym fotografiom. Siada przy fortepianie. Spod palców wypływa rozrywkowa melodia.

— Kiedy byłem mały — mówi — ja i moja siostra graliśmy na pianinie. Rodzice byli bardzo zadowoleni i ciągle musieliśmy popisywać się przed sławnymi gośćmi. Nieraz widziałem tego. Byłem zdenerwowany. W tym czasie mieszkaliśmy w Nowym Jorku i zaczęłam słuchać melodii z

Broadwayu. Uwielbiałem wszystkie klasyczne musicale. Mogłem grać wszystko ze słuchu. To było łatwiejsze niż Chopin. I potem zaczęłam pisać muzykę dla teatru, dla telewizji. Ale do mnie nie pasuje określenie — kompozytor. Kompozytorzy — to Brahms, Beethoven, Chopin, Choczek. Ostatnio zastanawiałam się nawet nad napisaniem czegoś poważniejszego, na przykład symfonii, lecz jeszcze się waham.

Ojciec był dumny z syna-kompozytora. Do sztuki wykonawczej Artur Rubinstein, szczególnie w młodości, odnosił się z dość dużą pogardą: „Uważałem, że ciągle siedzą i czyszczą zęby klawiatury — tak właśnie mówiłem! Ciągłe te same gamy — w górę, w dół. Przypominały mi szczotkę do zębów. Uważałem, że to wszystko jest nie nie warto, że to wszystko jest ulotne”. Jednak miłość do muzyki zwyciężyła i do końca ofiarowywał ludziom niezapomniane wzruszenia. Czyna to nadal.

Pozostały nagrania, pamiętki. Szkoda tylko, że za chwilę znów nie wiadomo na jak długo, powędrują do magazynu Ekspozycji stała zapowiadano na stulecie urodzin. W trzech sa-

lonach, z podziałem na role. Lecz dopiero w styczniu ubiegłego roku pomieszczenia stały się własnością muzeum. Gdy zaczęto je remontować, okazało się, iż część zabytkowych wnętrzy należy zabezpieczyć, a prace sztukatorskie są bardzo mozolne. Termin zawisł więc w próżni. Skąd my to znamy? Ano z własnego podwórka. Z jedną tylko różnicą: Łódź zapewne w końcu otworzy podwoje stałego muzeum w kilka lat po śmierci Rubinsteina, a Henryk Wieniawski, urodzony w Lublinie ponad sto lat temu, a zmarły w wieku czterdziestu pięciu, nie może doczekać się jednej marniej izdebki, choć przecież kamienica, w której przyszedł na świat, stoi sobie na Starym Mieście. Opisywana przez najroźniejsze pióra i piórka, powinna już dawno pęknąć z dumy, ale jakoś nie chce. Tylko w oczy kole.

Lecz dość tych dywagacji. Rok Wieniawskiego się skończył. Jesteśmy przy Rubinsteinie. Telewizja amerykańska w ciągu kilku dni skończyła kręcić film. W ciągu miesiąca obiecała go zmontować. Później przekazała kopię agencji Poltel, a ta jak będzie miała szczęście, wyemituje ją jeszcze w tym roku w II programie TVP, równoległe z odcinkiem serialu z gatunku „Fakty ciernistych krzewów”. Pozostaniemy na razie przy sztuce ulotnej.

Kwadrans szczerości

Związek weteranów pod wezwaniem św. Stachury

Maciej Podgórski

NAPISAŁEM w życiu tysiące słów, które zostały wydrukowane. Zaczynałem od nauki o literaturze. Dziś nawet samemu trudno mi w to uwierzyć. Zresztą szybko mi przeszło. Niedawno, przeczytawszy swoją naukową publikację sprzed dwudziestu lat, stwierdziłem, że sam z niej niewiele rozumiem. Taka była uczona i wyszukana. „Uwagi o szyku przydawki przymiotnej i dopełniaczowej w języku artystycznym Słowackiego na podstawie liryki z lat 1825—1842”. Mój Boże!

Oczywiście, mówiąc to, nie zamierzam w niczym uwłaczać moim mistrzom uniwersyteckim, ludziom zacięci i mądrym, którzy uczyli mnie solidnego czytania tekstów, sztuki analizy oraz syntety (literackiej), tudzież gramatyki języka polskiego (opisowej i historycznej). Ponadto uświadomił mi, że uprawianie nauki o literaturze może być godziwym sposobem na pogodnie spędzenie reszty życia, a tymczasem pożyczali mi pieniądze albo dawali zarobić, żebym jakoś dojechał do końca studiów. Tylko że z podyplomowym uprawianiem nauki ostatecznie nie wyszło, choć było trochę dobrej zabawy.

Następnie wziąłem się bardziej serio za pisanie o literaturze. O żywych pisarzach. Nowakowskim, Orłosiu, Pilocie, Twardochlibie, Płazewskim, Stachurze, Madeju, Brychcie, Iredyńskim, Pietryku... I o innych, których w tej chwili nie pamiętam. Ale po kilku latach doszedłem do wniosku, że to nie ma sensu. Dalsze mnożenie słów o słowach i o słowotwórcach. Tworzenie bytów pozornych.

Przestałem pisać o literaturze. (Także i dlatego, że nauczony w uniwersytecie gruntownej lektury i analizy utworów, wkładałem zbyt wiele wysiłku

i czasu w swoje zajęcie — powiedzmy — krytyczno-literackie. Zbyt wiele w stosunku do efektów finansowych, które były mizerne.)

Wkrótce doszedłem też do wniosku, że sama literatura nie ma sensu. Bezsilna, mało komu potrzebna, jakby przydatna. Bo czym ona jest w najlepszym razie? — Skamieliną ludzkiego serca, w której zastygło trochę cierpienia, trochę smutku i trochę złudzeń. W najlepszym razie. Choć może to i tak nie ma? A w najgorszym? — Prostyucją. Tej zawsze było na świecie dużo i nigdy jej nie zabraknie. (Ja nie mówię, że prostytucja jest całkiem bezużyteczna.)

Z kolei wziąłem się ostrzej za pisanie o życiu społecznym i w ogóle, czyli za uprawianie dziennikarstwa. Trwało to dość długo i jest to historia z gatunku: jak mały kazio chciał zbawić świat. Ale też w końcu doszedłem do wniosku, że nie ma sensu. Bo czym jest tak zwane życie społeczne? — „Wszystko to nędza” — jak mawiał Atoś z „Trzech muszkieterów”, ulubiony bohater mojej młodości. A więc wszystko to nędza: Obluda, komunał, slogan. A w dodatku nie da się o tym wydrukować całej prawdy. W pewnym momencie przyszło mi do głowy, że moralność to jest ostatnie słowo, jakiego powinno się używać w tym kraju. (Tylko nie przyszło mi do głowy, co to znaczy — „moralność”).

Dokładnie nie pamiętam, ale doszedłem do tych wniosków gdzieś pod koniec epoki późnego Gierka, kiedy dziennikarstwo w Polsce zaczęło już osiągać szczyty lizodupstwa i pauperyzacji pod każdym względem. „To za co was kupili?” — spytał dziennikarzy pewien robotnik jesienią 1980 roku, dowia-

dując się o mizerii przeciętnych zarobków dziennikarskich.

Ale ja jeszcze przed sierpniem '89 przestałem pisać — o życiu społecznym i w ogóle. Nie było w tym ryzyka ani żadnego bohaterstwa. Mogłem sobie pozwolić na ten luksus wskutek sprzyjających okoliczności zawodowych. Awansowałem mianowicie z wyrobnika na poganiacza (niskiego szczebla, skąd jeszcze widać prawdę)...

Zatem przestałem pisać. Choć teraz widzę, że to było naiwne. Może należało spróbować pisać zupełnie innego. Nie o życiu społecznym, tylko o zakamarkach i sfinksach jednostki.

Ostatnimi laty pilnie studiuję historię Polski i okolic. Szczególnie w wiekach XVIII—XX w różnych naświetleniach. Bobrzyński, Bocheński, Galiński, Grzybowski, Jasienica, Kumaniecki, Micewski, Piłsudski, Terlecki... Bardzo pouczające zajęcia. Można by nawet rzec — konstruktywne. Ponieważ może prowadzić do wniosku o koniecznościach.

Znalazłem się kiedyś na półoficjalnym przyjęciu. Towarzystwo było głupie, wódki było mało. Rozpacz. Ani pogadać, ani wypić. „Dlaczego tak siedzisz i milczysz?” — zapytał mnie ktoś. „Bo jakbym wiedział, że się przewrócę, to bym się połżył” — powiedziałem odpowiedzieć równie mądrze. „Milcz, ale to nie znaczy, że nie myślę” — powiedziałem jednak, chcąc wypaść inteligentnie, choć to było rzucanie perel przed wieprze.

Więc milczę (przeważnie), ale to nie znaczy, że nie myślę. A jak coś wymyślę, to może i powiem publicznie, jeśli będzie komu i po co. Nie jestem wcale pewien, czy żartuję w tej chwili, chociaż sytuacja przypomina dowcip z epoki Gomułki: „Produkowałibyśmy konserwy mięsne, gdybyśmy mieli cienką blaszkę, ale nie mamy mięsa”.

A teraz — dlaczego ja to wszystko piszę? Otóż postanowiłem wyartykułować parę zdań w kwestii Stachury. I nawet początkowo zacząłem iść w tym kierunku, ale tekst poprowadził mnie gdzieś indziej i ja temu uległem. Kto kiedykolwiek pisał, ten wie, że jest to zjawisko normalne i należy mu się podporządkować.

Jednak trzeba wrócić do Stachury, bo nadal wokół jego osoby dzieje się durna, idylliczno-heroiczna heca, zwana przez niektórych legenda. W tej aurze pojawia się Stachura jako nawiedzony i zbuntowany św. Franciszek w blue jeans i z gi-

Z bocznej łoży

W złotkach i błyszczotkach

TUZ przed Bożym Narodzeniem przybiegł do mnie pewien entuzjasta i powiada: Rozhln wystawia „Betlejem polskie”. Świetnie — mówię — „Betlejem polskie” we wszystkich odmianach tekstu znam, dzieje kariery tego dramatu na scenach zawodowych i amatorskich również, tudzież wszystko, co o jasełkach Rydla napisano, jako że zdarzyło mi się kiedyś popelnąć niewielką pracek na temat „Betlejem”, a także pomieścić niegdyś tu i ówdzie niewielkie tekstki o jasełkach. Piszę o tym nie w celach — uchować Boże — samochwalczych, jakby się mogło komuś wydawać. Chcę raczej powiedzieć, że jeśli sięga się po ten dramat, warto wiedzieć coś niecoś o jego dziejach scenicznych, również co znaczył ten tekst w rozmaitych epokach, jakie tradycje, wartości i może jeszcze a negdoty się z nim łączą. Ale ludzie teatru nie mają pewnie ochoty, ani cierpliwości na wykonywanie takiej „filologicznej” roboty, zostawiając to — i może słusznie — zakurczonym bibliotekarzom.

Biorę oto do ręki program teatralny do „Betlejem” i ręce opadają... Najpierw w zinfantylizowanej formie podany życiorys Rydla, a dalej „wysmażone” coś, co niby usiłuje traktować o samym tekście jasełek. Czytam oto: „Dramat Lucjana Rydla przedstawia treści proste i jasne”. I nieco dalej: że istnieje „potrzeba poddania doświadczeniu sceny dawnego sposobu myślenia, odczuwania, dawnych emocji, wreszcie patriotyzmu, mesjanizmu...”. No, no, sam Rydel nawet tak wysoko nie mierzył. Aż dziw bierze, że potulne, jasełkowe anioły nie połamały sobie skrzydeł na tym patosie „mesjanizmów”, jakie teatr przyłożył do „Betlejem”.

Zacznijmy może zatem po kolei. W 1993 roku Rydel na łamach „Przeglądu Powszechnego” pisał: „Niechaj nam w jasełkach nikt nie przedstawi, że Jezus urodził się w Palestynie. (...) Zapewne tak było historycznie, ale w jasełkach to nieprawda. Biblijna Palestyna nie istnieje. Rodzi się tu, między nami wśród mroźnej polskiej zimy, a Betlejem leży w Polsce.” Pracował już wówczas nad tekstem jasełek, które w grudniu 1994 roku pojawiły się na scenie lwowskiej. Pomyśl stworzenia polskich, narodowych jasełek nie był tak zupełnie nowy. „Betlejem” jedynie rozwinęło model takich jasełek, które powstawały już od połowy XIX wieku, m.in. „Gwiazdka” Wincentego Pola (1844), „Szopka” Leńartowicza (1847), „Jasełka” Konopnickiej, „Bóg się rodzi” Gomułkiewicza.

Rydel sięgał do źródeł religijnych, ale również do tradycji ludowej. Połączenie tych wzorców wkomponowanie opowieści o Bożym Narodzeniu nie tylko w rodzinny kraj, obraz, ale również w polską sytuację polityczną historyczną pozwoliło na stworzenie dramatu, który stanowił manifestację narodowych i religijnych uczuć przynosił oamnieć o dawnej Polsce królewskiej, bohaterkiej, przypominał zaś ziem dawną Rzeczypospolitą. Był w tym dramacie — jak pisał Boy-Zeleński, raczej propagator kultury jasełek — „sekretnie trafienia do wszystkich serc i do każdego poziomu inteligencji”. Jeden z ówczesnych recenzentów uważał że to „utwór poetyczny działający bezpośrednio na uczucia widzów (...), zdolny działać wśród szerokich warstw społeczeństwa”.

„Betlejem” szybko zdobyło popularność i uznanie. Tuż po lwowskiej premierze trafiło na sceny krakowskie (1905 r.) najpierw Teatru Ludowego, a potem Miejskiego, gdzie, wyreżyserowane przez Ludwika Solskiego, zdobyło stałe miejsce w repertuarze i na długi czas pozostawało związane z Krakowem, wznawiane nieustannie w okresie Bożego Narodzenia aż do roku 1934. Wielu wybitnych aktorów przechodziło szkołę krakowską, upamiętniając się w którejś z ról „Betlejem” — Zelwerowicz, Węgrzyn... Solski



Jacek Gierczak — Diabeł i Urszula Szydlik — Śmierć
Fot. Andrzej Polkowski

wspominał po latach: „Aktorzy czuli się zawsze świetnie w rolach w „Betlejem” publiczność przyjmowała je z radością, teatr miał zawsze niezawodne powodzenie”. No właśnie. Zdobywało publiczność, trafiało przede wszystkim do gustów mieszczańskiej publiczności Krakowa, która zapewne

chętnie widziała w teatrze wszelkie przejawy religijności i wysoko je ceniła. Czy dzisiaj wystawiając „Betlejem” teatr może na to liczyć? Podobno tak. Mają jasełka Rydla swój znaczący rozdział w historii polskiego teatru i bogate tradycje inscenizacyjne. Tekst

tarą, który wie przecież, jak żyć w zgodzie ze sobą i z naturą (a przeciw komunie?). Silny, wolny, niezależny, w całej swojej jaskrawości falujący na wietrze.

Tak zwana legenda Stachury — jak słusznie zauważył Ziemowit Fedecki — stanowi objaw życia pozaumysłowego. Jest ona zaraźliwa i dotarła nawet do Polski B, gdzie przybrała formę frajerskiego kitu i zalosnego bajera. Ma głęboką rację Fedecki, gdy pisze: „Legendę Stachury w jej dzisiejszej postaci rodmuchal kołtuń. Można go również nazwać drobnomieszczaninem lub półinteligentem. A także — i może to najsluszniejsze określenie — produktem dyspersji społecznej. Istnieje ponadto trafny neologizm — »wykształcenstwo«. Środowisko to, stanowiące plagę nie tylko naszej kultury, składa się z osobników, którzy zdobyli pewną sumę władomości, ale nie potrafili się nimi posługiwać z pożytkiem dla siebie i dla osób trzecich. Przeszkadza im w tym brak ugruntowanego własnego światopoglądu, a co za tym idzie — kryteriów moralnych, społecznych i estetycznych. Nie potrafili, a może nie udało im się ich zdobyć. Spora część winy za taki stan rzeczy spada na naszą fatalną szkołę średnią i kiepskie uniwersytety”.

I tak oto Stachura, którego za życia trudno byłoby posądzać o ciągoty drobnomieszkańskie — po śmierci stał się pastwą kołtuńskiej nekrofilii.

Ale może ta legenda jest potrzebna? Może kompensuje jakiś rzeczywisty brak? Może i kompensuje. Jednak przede wszystkim jest szkodliwa, ponieważ, powielając stereotyp, odczuwa myślenia. Na tym przecież polega mechanizm mistyfikacji, reprodukcja umysłów zniewolonych.

Na swoją dziesiętą legendę Stachura, gdyby tył, nie chciałby nawet spluć, aczkolwiek własna sława nie była mu obojętna. Mówię tak, bo choć znałem Stachurę słabo, to może odrobino lepiej niż niejedną, który, podgrzewając jego legendę, usiłuje zarobić parę złotych i podbudować sobie nazwisko.

Coś mi się zdaje, że Stachura ma po śmierci więcej znajomych niż za życia. Ostatnio przybywa jakoś ludzi, którzy osobiście znali Stachurę. Jeszcze trochę, a powstaną związki weteranów pod wezwaniem św. Stachury. Jest to mechanizm nie taki znów nadzwyczajny. Na podobnej zasadzie Piłsudskiemu przybywało legionistów (że pozostaną przy egzemplifikacji bezpiecznej).

Do znajomości ze Stachurą przynajmniej w poprzedniej „Kamieniu” (nr 3) Ireneusz J. Kamiński (w artykule: „Stachura, Marina Vlady i Inni”). I przynajmniej otwarcie wyjawia, że „postanowił też na Stachurze zarobić”. Ponadto nie deklaruje się — i słusznie — w szeregi „domorosłych egze-



Rys. Franciszek Małuszczyk

gelów” św. Stępa, „ministrantów z laski neuraszty”, Przedstawia natomiast własną wizję Stachury, czerpaną — jak twierdzi — z „faktów i tylko faktów”.

Kamiński okazuje się bardzo biegłym rzeczoznawcą w zakresie osoby Stachury. Analizuje nawet topografię jego lsyiny (kędzierzawe włosy blond, „rzednące w partiach czołowych”). Przypomina ponadto, że Stachura grywał ostro nie tylko w pokera i szachy, lecz również w pikule. Pozosta-

je nierozstrzygnięta kwestia, co Edek miał w rozporku. Coś tam chyba miał, bo Kamiński pisze, że Edek „z niechęcią odnosił się tylko do dzieł”.

Ale przede wszystkim w wersji Kamińskiego, przepelnionej bezinteresowną miłością do ludzi, Stachura jawi się jako egotyk („wielce rozmiłowany w sobie samym”), Narcyz („zakochany we własnym cieple”) i kabotyn (twierdzący, że „na pewno otrzyma nagrodę Nobla”).

W tym miejscu chcę o coś spytać serio. A może Stachura był po prostu samotnym i słabym człowiekiem, nadwrażliwym wadzącym się z samym sobą i broniącym się przed światem w jedyny sposób dostępny człowiekowi słabemu — udawanym człowiekiem mocnego? Stąd może kostium pokrzyżsty głosne przechadzki, pijaństwa i bójki? Może, może... Ale gdzie jest prawda? Otóż tego rodzaju prawdy akurat nie ma. Nie tak dawno Dürrenmatt powiedział w wywiadzie dla „L'Europeo” — „Cokolwiek o tobie myślą, zawsze będzie to sąd błędny”.

Twierdząc, że dochodzenie „prawdy”, jak i był Stachura, to czynność jałowa co najwyżej drugorzędna i zastępcza. Bo Stachura był przede wszystkim pisarzem i przede wszystkim trzeba spytać, co z jego pisarstwa jest dla nas żywe i oryginalne?

Istnieje ponadto pewna obawa. Tak się jakoś zdarza, że im większy rozgłos i legenda towarzyszą pisarzowi wśród współczesnych, tym bardziej jego twórczość idzie w zapomnienie u potomnych. Kto spała się w calości jako gwiazda swojej epoki, ten na ogół cały przemija wraz z epoką, pod której niebem tworzył.

Szczególnym tego przykładem w literaturze polskiej jest Stanisław Przybyszewski. Gdy przybył z Berlina do Krakowa (już w aurze europejskiego modernizmu), jeden z witających go artystów pał na kolana i powiedział: „Chciałbym być cielakiem, ze skóry którego zostały zrobione pańskie buty”. Oto miara rozgłosu! Miodopolski skandalista, „smutny szatan”, „kapłan czystej sztuki”, wódz bohemy krakowskiej, przekył Przybyszewski własną legendę oraz własną twórczość i pod koniec życia za całą sławę musiał mu wystarczyć posadka urzędnika kancelaryjnego u pana prezydenta RP.

A dziś? Kto dziś — poza profesjonalnymi polonistami — wraca do pisarstwa Przybyszewskiego? Nie chciałbym, aby jutro spytano o to samo w przypadku Stachury. Ale nie wiem...

PS. Na użytek Ireneusza J. Kamińskiego skłonny byłbym przyznać, że napisałem ten tekst głównie z powodu braku pieniędzy.

MP

zmieniany i uzupełniany w rozmaitych okresach, towarzyszył ważnym zdarzeniom historycznym: w okresie I wojny, ustalaniu się granic II Rzeczypospolitej, w okresie plebiscytów na Śląsku i Mazurach. Ważne miejsce zajmuje „Bettelem” w dziejach amatorskiego ruchu teatralnego — teatrów robotniczych i przede wszystkim wiejskich. Zresztą, z myślą o takim teatrze pisał Rydel swoje jasełka, uważając, że „jeśli kiedykolwiek powstanie teatr na wsi, to zaczynając od jasełek”. Sam zapoczątkował wystawianie swoich jasełek na wiejskiej scenie, przedstawianiami w Toniach i Bronowicach, w 1906 roku.

Kariera „Bettelem” na scenach zawodowych wyszła w latach trzydziestych. Pojawiały się wówczas i zyskiwały popularność utwory bożonarodzeniowe kolednicze („Pastorałka” Schillera — 1922 r.) i szopkowe (szopki polityczne Cyrulika Warszawskiego i Zielonego Balonika). Ale i zmieniła się już wówczas świadomość historyczna, narodowa, jak również formy religijności. „Bettelem” zeszło szybko do rangi tekstu blaskiego, naturalnego, „bogurodzianego” nie sięgało do usodobań publiczności. Zygmunt Leśnodorski pisał, zaczęło zleżeć do roli popularnej popołudniówki wznawianej z obowiązkami w okresie świątecznym. Teatr zaczął lekceważyć te wznowienia jasełek w teatrze krakowskim wytworzył się smutny zwyczaj, że „Bettelem” nie wypada grać na trzecie Aktoży myśli kwestie i poruszała sobie na niewłaściwe żarty”. Będzie popularność odzyskało dopiero w roku 1973, wystawione w Nowej Hucie, po raz pierwszy po II wojnie.

W kontekście żadnej z tych tradycji pojmowania i wystawiania rydlowych jasełek nie da się na razie usytuować przedstawienia Teatru im. Osterwy. Ale spróbujmy może szukać jeszcze dalej. Istnieje także pewna lubelska — niezbyt szczęśliwa — tradycja wystawiania „Bettelem”, wyrosła na gruncie ograniczeń carskiej cenzury, choć nie tylko. Nigdy nie wystawiano w Lublinie tekstu Rydla w całości: pominięcia dotyczyły głównie postaci Unity Podlaskiego. Nigdy nie cieszyło się też specjalną popularnością. Pierwsze wystawienie w Lublinie w 1906 roku miało zaledwie trzy spektakle. Podobnie było z przedstawieniami z roku 1918 i 1921. Na łamach „Ziemi Lubelskiej” donoszono wówczas, że ponad połowa ówczesnego społeczeństwa Lublina okazywała wyraźny brak zainteresowania i niechęć dla polskiej, narodowej sztuki, zgodnie z polską tradycją jasełkową, przedstawiającej zabawnie, czasami prześmiewczo postać Zydą z intermediiów.

Jasełka są formą, w której wśród treści bożonarodzeniowych łatwo przeznaczyć rozmaite aluzje, odniesienia do współczesności. Przedstawienie Andrzeja Rozhina nie jest próbą odrabiania patriotycznych zaległości, jak to zdarzało się w teatralnych realizacjach szopek i jasełek u progu lat osiemdziesiątych („Bettelem”, „Koleśka-noc”, Brylla...). Raczej wydaje się bliższe owej „lubelskiej” tradycji: pomija w III akcie postać Unity Podlaskiego, intermedia z udziałem postaci Zydą ujęte bardzo subtelnie, sama zaś postać w tonacji „chwala na wysokość”, wbrew jasełkowej tradycji.

Przedstawienie to jest może nawet swoiście ładnie, kolorowe i rozśpiewane, tyle że bardzo eklektyczne, tak dalece, iż nawet w jasełkowej konwencji trudno to zaakceptować. Pozostaje trochę w tonie młodopolskiej smętności i napszenia, zwłaszcza w scenografii: wierzby rosochate, jakby w stylu obrazów Wyspiańskiego i nie bo mgliste z kolorową tęczą. Próba przyjęcia koncepcji widowiska koledniczego nie jest prowadzona konsekwentnie. Jest to „Bettelem” miejscami nabożne i dostojne, miejscami zaś prześmiewcze. „Dziadek z dzwonkiem” biega po widowni, sygnąc „dorabiane” teksty w rodzaju: „Ta kapota obszarpana, to przez Ronaldą Reaganą”. Matka Boska siedzi nabożnie cała w złotych i błyszczotkach, zaś anioły to wyśpiewują rzewnie, że aż cierpną zębami od słuchania, to znów tańczą rażno z pasterkami, a dziewczki wiejskie, co przyszły do łobka, podpierają kulisy. Publiczność zaś, przecierając oczy, wola za pasterkami: „gwaltu, gwaltu, co się dzieje?”

Jest taki rysunek Władysława Darszewskiego, przedstawiający Leona Schillera przy fortepianie, i pod nim napis: „Anioł pasterkom mówił: Proletariusze wszystkich krajów łączcie się”. To by była może najlepsza recenzja dla przedstawienia Rozhina.

Lidia Wójcik

Lucjan Rydel — Bettelem polskie w Teatrze im. J. Osterwy w Lublinie. Reż.: Andrzej Rozhin, scen.: Andrzej Markowicz, chor.: Jacek Tomasiak, muz. i oprac. koled.: Mieczysław Mazurek, Premiera — styczeń 1982.

Kajet literacki

Za czym są kucharki?

W BUDOWNICTWIE secesyjnym stosowano już nowoczesne środki techniczne, posługiwano się między innymi chętnie żelbetonem. Potem wystarczyło odrzucić wszystkie babcine ozdóbki, żeby natychmiast mieć gotowy nowy styl, tak zwany nowoczesny. Podobnie zrobiono w poezji czy muzyce. Ale okazuje się, że sztuka polega także na tych odrzuconych pospiesznie ozdóbkach. Musił powiedzieć, że nawet w odpadkach sztuki zawarte są jej wielkie moce, wielkie zasoby, których marnować nie wolno.

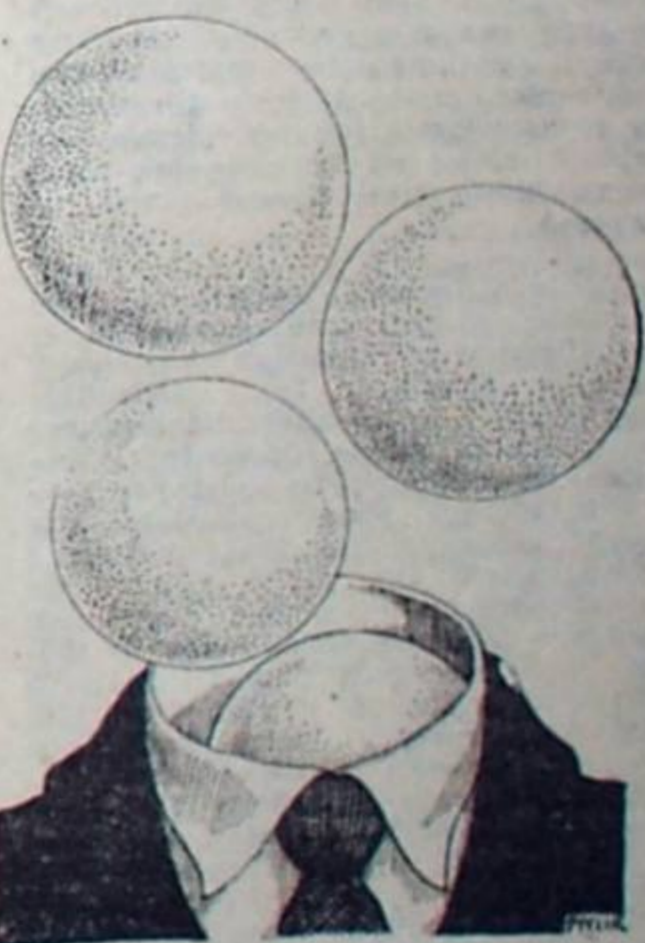
Najnowsza proza popisuje się swoją naiwną pogardą do fabuły i konkretnego bohatera, choć już Cicero nauczał, że „zmyślone wprowadzenie osób” to w retoryce „najwspanialsza chyba figura służąca do wyolbrzymienia sprawy”. Daremnie też przez tysiąclecia całe przestrzegano przed mieszaniem prozy z poezją, dziś robi się to namiętnie, ale wcale nie bezkarne, jak na to wskazują efekty twórcze.

Wielu stwierdza sobie beztrąsko, że taką samą sztuką jest wielka klasyka, mizerny pamiętnik i zgola grafomańskie wycpociny amatorów. Blażęński happening nie jest, według nich, gorszy od wielkiej inscenizacji. Wystarczy jeździć po płótnie rowerem z brudnymi oponami, żeby stworzyć dzieło godne muzeum. Zamiast grać na fortepianie, można go rozwalić siekiera, z czego też będzie muzyka.

Skoro piękno ma tak różne oblicza, więc w gruncie rzeczy prawdziwe jednak, że relatywizm ten odnosi się nie tylko do formy dzieła. Ogarnia także jego treść. Dla ilustracji wystarczy przypomnieć tylko modną przed laty lumpowską tematykę, która teraz dominuje w pocziwej piosence. Zakwestionowanie wartości estetycznych zawsze łączy się z zakwestionowaniem wartości moralnych — o tym dobrze wiedzieli nie tylko starożytni. A bez

świata wartości nie istnieje problem odpowiedzialności człowieka.

No i o tym wszystkim artyści nie chcą po prostu wiedzieć. Zamknęli oczy i malują swoje obrazki. Stulili



Rys. Zygmunt Pytlík

uszy i rąbą fortepiany. Zarzyl się w kąci i piszą bełkotliwe wierszyki. Jedyny kłopot mają tylko z odbiorcami, którzy nie dają się oczarować. Dlatego melomani dalej słuchają klasyków, a kucharki czytają Krasszewskiego, Balzaka, Sienkiewicza. Kucharki są ostrożne. One są po prostu za światem wartości estetycznych i moralnych, za odpowiedzialnością. Choćby podświadomie.

Janusz Oleczak

Wiesław Horabik



„To tak niedawno. Drugi to był poniedziałek. Niedobry dzień na umieranie. Zawsze to początek czegoś. Chociaż i środa, i piątek też były niedobre. I sobota także. Jeszcze kwiaty nie uschły. Nadeszły tylko ich końce, zwinęły się i trochę przysypały ich liście. To pewnie wtedy, gdy był ten wielki wiatr. Umarł gdzieś po Dniu Zmarłych. Może myślał, że ma to już za sobą. Może myślał, że już teraz nie może umrzeć. A może nie mógł myśleć tak jasno i wyraźnie. Wtedy może to tylko czuł. Za to ten miesiąc jest dobry. Taki cenny. Taki przedrozbielony. Taki nierozpachniały. Dziwne nazwisko. Po co ta Maria? Wyobrażam go sobie starszego niż w istocie był. Wyobrażam go sobie jako artystę. I koniecznie

z brodą. Może plastyk? malarz? Niespecjalnie podobna mi się ta Maria. Może dlatego Maria, że i Jan?”

Ten pomnik jest taki niepewny. Pomniki obok są stare. Są przyciemnione przez deszcz i wiatr, i słońce. Z liter odpryskuje farba. Tu nie ma liter. Jest kawałek białej blachy z ciemnym obramowaniem. Za cementarzem pachnie kostniejącą ziemią — resztki gnijących liści, resztki rozkopanych dołów, resztki siwego dymu krzepnące w gęstniejącym mrozie. Woda w kałużach też marznie, a ślady stóp w gliniastej ziemi zastygają twardo. Ostre, nierozmyte krawędzie muszą tu pozostać aż do wiosny. Są stopy małe i delikatne, i ciężkie buciory mężczyzn.

„Pewnie miał dzieci. W najlepszym wypadku dorosłe lub prawie. Pewnie był otyły. Miał dużo cholesterolu we krwi i serce miękkie od braku ruchu. Pewnie nadużywał kawy i tytoniu. A może przejechał go pijany kierowca stara. Kto umiera mając tak niewiele lat? Nie miał wcale lat, kiedy wybuchła wojna”.

JAN MARIA STEPNIKI:

— Pamiętam tylko niewyraźne helmy. Rozlewało się po nich światło. I jakieś puski przy grubych, skórzanych pasach ze srebrną klamrą. Ale to nie były granaty. Nie, w istocie nie jest to dla mnie ważne. Wtedy nie liczyłem się. Liczyło się mleko i pływające w nim grudy masła, grube kromki ciepłego chleba, zapalenie ucha, wymioty, angina, zimno, ciepło, głód, sytość — tak jak zawsze i jak wszędzie. Nic, nie powiem, żeby to było dla mnie ważne. Nie więcej niż dla innych, którzy nie brali w tym udziału. Rodzina tak, ale ja nie.

„Teraz jego dzieci siedzą może przy wielkim okrągłym stole, nakrytym kraciastą serwetą, i może czują właśnie brak jego głosu i nagłego wejścia do pokoju i trzasku zapalniczki. A może są zupełnie małe i nie czują nic. Może myślał, że on wyjechał i wróci. Długo go nie będzie, ale wróci. Więc tamto nie było dla niego ważne”.

JAN MARIA STEPNIKI:

— Pamiętam jeszcze drewniane schody, skrzypiące i zbutwiałe, które wiodły do przybudówki na strychu. I ciepły zapach końskiego łajna, sterty węgla na kwadratowym podwórku i czarne ptaki kolyszące się na brudnym niebie, jakby chciały mnie ucapić, gdy wspinałem się mozolnie w górę. A potem było słońce i kwiaty. Starzy ludzie płakali, a z głośnika płynęły lagodne głosy, miękkie, spokojne i słowiańskie. Spałem wtedy po raz pierwszy od długiego czasu w wielkim puchowym łóżu, w zapachach krochmalu i wielu obcych, nieznanymi ludzi. W sąsiednim pokoju grała muzyka i brzęczało szkło. To matka grała na ciemnym pianinie, stojącym w rogu pokoju i oświetlonym wysoko

światłem świec. Usnąłem i było mi ciepło i spokojnie, i wygodnie. Pamiętam duże głowy kwiatów, które mnie przebudziły swoim szerokim kołysaniem. Były gorące dni. Biegałem po polach i często robbilem w majtki. To był wtedy mój problem.

„Może jednak był urzędnikiem. Może wstawał codziennie rano o tej samej porze, odbywał te same czynności. Jadł te same potrawy i piął te same napoje. W niedzielę chodził na spacer w bezruchu i nagłym, chwilowym zatrzymaniu życia, które wytrąca miasto z równowagi, kiedy pustymi ulicami przejeżdżają rzadko samochody, a ludzie otrzępują kwiateczne palta. Potem był duży obiad, po którym ogarniała go senność i pił gorzką, ciemną kawę i patrzył na sport w telewizji, czekając, może nieświadomie, na ruch, na wielką przemianę, która ma nastąpić. Ile osób dotknęła jego śmierć? Jest tu odbitych w ziemi kilkanaście stóp, ale to nie znaczy nic. Czy jego śmierć dotknęła także mnie? Śmierć drobnego urzędnika, który przeszedł życie”.

Na nadłupanej płycie leży wieniec. Biało-czerwone kwiaty, oblepione igłami i pozwijane wstęgą ze złotych literami. Widać tylko „droższemu... Na końcu alejki pochylony grabarz ciągnie po ziemi ciężki szpadeł. Oddalają się głosy kobiet. Jest po ludnie. Znowu przyszła pogoda, ale słońce jest ni-jakie i blade, a powietrze ostre jak utłuczone szkło. Wysokie prostokątne bryły domów zagładają z tamtej strony między drzewa.

„Nie będę grzebał przy tej szarfie, chociaż z niej mógłbym się dowiedzieć wiele. Nie będę pochylał się nad tą płytą. Niech spooczywa w spokoju”.

JAN MARIA STEPNIKI:

— Ze szkoły pamiętam wyropowaną podłogę i nasze piszące, wysokie głosiki i męski głos mojej pierwszej nauczycielki. Pamiętam także białego orla na wprost mojej ławki. Z miasta pamiętam jeszcze strzały przed komendą milicji i martwą Grzelakową w trumnie, w otoczeniu świec, która podobno piła denaturat. Rozbudziłem się w gimnazjum. Zaczęłem spoglądać na nogi i piersi dziewcząt ze starszych klas. I zacząłem spoglądać na świat... Nie mówię ci o mojej rodzinie, bo ta wypowiedź należy tylko do mnie. Zbyt dużo musiałbyś się domyślać, a nie chcę tego. Chcę, żebyś widział mnie jasno, choć nie do końca. Tego nie mógłbym podarować nikomu.

„Do gimnazjum poszedł chyba w 54-tym. I na pewno do tego starego, poklasztornego, przykościelnego. Pewnie chodził też po tych podmokłych ławkach tak jak ja i ostrożnie wyszukiwał stopą twarde kępki gruntu, zapadając się raz po raz. Może też patrzył na kury niespokojne i spłoszone przed nadiągającym deszczem i na pewno czuł

Z krakowskiego Zjazdu Związku Literatów Polskich (odbył się on 3—5 grudnia 1965 r. i jak na owe czasy był bardzo burzliwy — zanotowałem w pamięci taki oto epizodzik: -

DLUGI sznur pisarzy w karnym ordynku przed recepcją w hotelu „Cracovia”. Stoimy bez względu na dokonania w literaturze, nieważny tu także stopień sławy — miejsce w kolejce zajmujemy też bez względu na liczbę wydanych książek i cenzurki wystawione przez krytyków. (I być może, najmniej znany pisarz albo ten, którego bez przerwy besztła krytyka, tu właśnie pomyślał tęsknie, z marzycielskim westchnieniem, że historia i czytelnicy mogą właśnie tak przemieszać kolejność miejsc na Parnasie jak teraz przypadkowo stoją pisarze przed recepcją.)

Za ladą recepcji uwijają się młodzieńki, sympatyczne dziewczęta, z wyhaftowanym w kłapach kostiumów słowem „Uczeń”. Te młodzieńki dziewczęta z Technikum Hotelarskiego mają wiciką frajdę. Sprawdzają bowiem dowody osobiste wybitnym pisarzom, których wierszy musiały się uczyć na pamięć lub czytać powieści i opowiadania, aby potem męczyć się z ich streszczeniem. Być może, niejedna z nich oberwała dwójkę za któregoś ze starszych panów, stojących teraz w kolejce. A jest tu wielu oczywiście znanych pisarzy. Przed sobą widzę Jarosława Iwaszkiewicza, Jerzego Putramenta i Juliana Przybosa, za mną także kilku autorów, którzy od dawna są już w lekturach szkolnych. Patrzą i próbują się domyśleć, co też te podlotki mogą czuć, trzymając w swoich rączkach dowody osobiste tak wybitnych i sławnych pisarzy. Obserwuję uważnie ich wyraz twarzy, ruchy, a nawet wsłuchuję się w barwę głosu, gdy mówią: „proszę”, „dziękuję”. Uczennice są jednak spokojne, uprzejme, powiedziałabym, że nawet w odrobinę dostojny sposób załatwiają tylu niezwykle gości. Oto jedna z nich pulchniutka jak paczek, o ładnej choć trochę lalkowatej twarzy, bierze dowód Jarosława Iwaszkiewicza. Patrzą uważnie. I nie

bardzo wierzę własnym oczom i uszom. Nic, zupełnie nic. Dziewczyna zachowuje się najspokojniej w świecie: żadnego wewnętrznego rwetesu, podniecenia, drżenia rąk przy wpisywaniu nazwiska do książki hotelowej, najmniejszej emocji w głosie. Za chwilę wypisuje druczek meldunkowy Jerzy Putrament. To samo. Uczennice przejawiają spokój, absolutny spokój. Potem jeszcze kilka osób. Przesuwam

Teraz podaje dowód siwy, szczupły pan w okularach tuż przede mną, który mi zasłaniał widok. Spośród stojących w kolejce nie znam tylko jego nazwiska. Nagle pomyślałem, czy uda mi się dostać pokój jednoosobowy? A gdyby tak jeszcze z łazienką... Wiadomo, jak się człowiek czuje i wygląda po tej piekielnej podróży prawie przez całą Polskę. I w tejsze chwili, zupełnie przypadkowo, opiera-

wszystkich młodych twarzyczkach. Dziewczyny natychmiast podbiegają i gromadzą się przed szczupłym panem w okularach. Ta pierwsza z dowodem osobistym w rękę — najwyraźniej najszcześliwsza i najważniejsza dzięki temu dokumentowi — najdelikatniej i jak tylko można najuprzejmiej, zalewając formalności hotelowe siwemu panu. Podsuwa swój pamiętniczek w

Ja do Ani...

Czesław Kuriata

się trochę w bok, bo zasłania mi widok wysoki, siwy pan tuż przede mną. Druczek wypelnia Jan Dobraczyński. Może na jego widok zadrży głosik podlotkowi w recepcji? Wiadomo, to przecież popularny pisarz katolicki. Ale gdzie tam! To samo, co przedtem, dziewczęta zachowują się spokojnie. Jestem rozczarowany i trochę zbulwersowany. Ja przecież, gdy pierwszy raz rozmawiałem z tymi samymi pisarzami, przeżywałem nie lada emocję i tremę!

Po chwili usiłuję dać spokój w swoich myślach uczennicom w recepcji.

jęc się o barierę recepcji, zerknąłem na pulchną uczennicę. Dziewczę drżącymi rękami, z wypiekami na twarzy trzyma otwarty dowód siwego pana w okularach. Rumieniec na jej twarzy czce nabierają intensywności różowej róż. Drżącym, załamującym się głosem zwraca się do siwego pana, nie wiadomo za co przeprosza. Trzymając jego dowód w obu dłoniach blednie do grupki swoich rówieśnic uczennic-praktykantek. Pokazuje im dowód, do najwyższego stopnia podekscytowana coś im chaotycznie tłumaczy. Rumieniec, jak pod wpływem podłączenia źródła prądu, pojawia się na

czerwonej oprawie, za chwilę robią to samo wszystkie jej koleżanki. Przed panem w okularach wyrasta stos różnokolorowych pamiętników. Oczywiście pierwszeństwo ma ta panienska, która załatwia pana w okularach. Szczupły pan zamaszycie wpisuje do pamiętników kilkudzaniowe dedykacje.

Udziela się i mnie nastrój podniecenia wytworzony przez miłe dziewczęta. Skąd ta nagła emocja i zainteresowanie? Jak się nazywa pisarz,

na twarzy jego grube, ciepłe krople. A może był samotny. Może uczył się tego wiele dni i nocy, kiedy to wyobraźnia podsuwała mu przed oczy obrazy pięknych, dalekich kobiet, wysmukłych i odgarntających długimi, białymi dłońmi kosmyki jasnych włosów. Może kochał tylko raz i z daleka. Może nosił wytarte kołnierzyki koszul i starannie ukancone spodnie. Może w niedzielę gorączkowo przemierzał mały pokój i patrzył na rozbabraną budowę z wysokości swojego piętra".

JAN MARIA STĘPNICKI:

— Rysowałem według dużego, ponemieckiego albumu ze szkicami Michała Anioła. Odtwarzałem godzinami te miękkie, rozbuchane postacie dokładnie i starannie, co do kreski. Wszyscy kiwali nadę mną głowami, a matka rozpowiadała im, że odziedziczyłem po niej duszę artysty. Ale studiować chciałem długie, wysmukłe kolumny i gęsto ornamentowane plafony. Projektowałem na dużym brystolu wielkie miasta, ustawicznie zapominając o szkołach i żłobkach. Były tam za to kina i dużo parków. W październiku, po ciepłym lecie, poszedłem do wojska. Wracalem do koszar, plażując w toalecie pociągu i gryząc łapeczywie ciepły domowy sernik. Drobnie skaleczenia polewaliśmy własnym moczem. Wtedy zacząłem budować statki z drewna, żelaznych patyczków i drobnych muszli wyszukanych na ciężkopiaszczystej plaży. W 61-szym wróciłem do domu. Musiałem wybierać między dwiema miłościami.

„A może nauczał innych. Może wykonywał ten najsmutniejszy zawód świata, kiedy przed jego zatrzymanym życiem przepływały wciąż tkwiące w ruchu nadzieje. A może miał naprawdę wspaniałe życie. Pełne oglądania i dotykania, zatłoczone ludźmi, którzy go pochwalali. Wtedy jego słowa byłyby głośne i dotykałyby wielu. A może był drobnym, złośliwym człowieczkiem, przycięzionym od żółci i małostkowości, czerpiącym ustawiczną radość z rozklepanej na ścianie muchy i kłótni u Kowalskich. Tym też mógł być, małym aroganckim stworzeniem, wiecznie niechętnym i odartym z poczucia humoru i ubóstwa drobiazgowość".

Ten pomnik stawali w pośpiechu. Nierówne grudy cementu oblepiają podstawę i górną płytę. Nie ma w nich nic niezwykłego. Niezmienna jednakowość nowych bloków przeniesiona i tutaj. Ktoś chodzący kiedyś tą aleją powie, że byliśmy cywilizacją jednakowości. Cywilizacją tepej, pozbawionej fantazji jednakowości uczynków i myśli, i pragnień, i dokonań.

„A może on chciał być inny. Może nosił w pamięci wszystkie te mijane twarze bez wyrazu i cierpiać, że położą go właśnie tak, w zapomnieniu, pod płytą, taką samą jak sąsiada. A może był dy-

rektorem. Krótko ostrzyżonym, w miarę tegim, starannie ogolonym i nakrapianym Consulem. Pachnącym też koniakiem i kawą, i proszkiem. Izi do białych koszul. Może posługiwał się charakterystycznym dialektem. Może miał już we krwi ten zestaw gestów i spojrzeń. Ale wtedy znalazłbym tu odcisk skórzanych pochwów na instrumenty i dwójkę harcerzy po obu stronach pomnika lub przed nim. Młody, zdolny administrator. Młoda fala. Zdolny i energiczny, dobry.

JAN MARIA STĘPNICKI:

— To wtedy zacząłem myśleć, że chciałbym umrzeć na jesieni. Wielu starców boi się jesieni, ale ze mną było inaczej. Nawet mając dwadzieścia parę lat, bałem się jesieni bardziej niż czegokolwiek na świecie. Zawsze wtedy czułem się tak skrajnie źle, że gdy kończyło się lato, popadałem w rodzaj obsesji. Jeździłem wtedy w góry, bo w nich przejście od lata do zimy było raptownie i mało wyczuwalne. Nagle robiło się chłodniej, żółkły pola i wysoko pojawiało się coraz więcej bieleń. To było moje lekarstwo, ale i ono działało krótko. Musiałem wracać do siapaniny, niskiego ciśnienia, przepychania się w błocie, bólu głowy rano, smaku gnicia w ustach, wiecznej senności, klucza w sercu i nadziei na śnieg. Pracowałem teraz w banku. Jedyną moją satysfakcją był czarny strażnik z wiekową strzelbą przy nodze i krata bładozielona, za którą mogłem wchodzić, kiedy inni nie mogli. Patrzyłem na długie kolumny cyfr i sterty przekazów rachunkowych, a w niedziele upijałem się obrzydliwą pomarańczówką, dopóki nie zwiłotowałem. Już nie rysowałem. Grałem za to w miejscowej drużynie na lewym skrzydle. W sobotnie wieczory czyściłem buty z kolkami, biegalem po boisku, a wieczorami w niedzielę znów siadałem do mojej gorzalki.

„Dlaczego wyobrażam go sobie właśnie tak? Może to ja nie mam fantazji i wyobraźni. Dlaczego nie potrafię wyobrazić go sobie innego? Dlaczego widzę tylko takie rozwiązanie? A może go widzę tak, jakbym patrzył na siebie. Może było zupełnie inaczej. Dlaczego nie mogę myśleć o tym do końca. Niech spoczywa w pokoju. I już nie będę wiedział, jaki był".

JAN MARIA STĘPNICKI:

— Nasze małżeństwo było nagle, jakby zbyt pośpieszne, jakby spóźnione. Szliśmy kamiennymi schodami w ostrogotycką czeluść drzwi, w których kłębiły się ciekawskie twarze. Była zdrowa jesień, jeszcze żywa i realna, pełna delikatnej mgły i szronu na lodygach. Szykowałem się do tego długie tygodnie, znów tracąc z odczuwania wieczystą prawdę o małej wielkich rzeczy. Potem w moim domu było nas dwoje. Siadywaliśmy teraz wieczo-

rami na szorstkiej sofie dziadka, starej, niemodnej i ponemieckiej. Kiedy urodził mi się syn, przesałem nagle bać się jesieni. Powyciągałem połówki karty brystolu i obserwując, jak dziecko rośnie z tygodnia na tydzień, wiedziałem już, że to nieważne, że brystol połówki i że nigdy nie narysowałem nic z pamięci. Jesienią towarzyszyła mi teraz pewność własnego dokonania i świadomość, że będę żył zawsze. Boże, jak ona poradzi sobie teraz sama?!

„Ależ Pański bohater jest taki zwyczajny i mało odkrywczy, że nie widzę sensu, aby go opisywać. Nie widzę sensu w tym, aby poznali go ludzie, bowiem nie ma w nim nic ważnego. To tak, jakby obserwował Pan ścianę. Co ciekawego mógłby mi Pan o niej powiedzieć. Nieśmiertelność jest przywilejem niezwykłości!

Z wyrazami szacunku
Redaktor"

— Musimy już iść.
Odchodzimy wolno od pomnika, wolno i spokojnie. Już na pewno nie wrócę tutaj. Mógłbym tak myśleć długo. Musimy iść teraz ostrym krokiem, aby zdążyć na obiad do ciotki Ani.



Rysował: Józef Tarłowski

który potrafił podnieść aż do tego stopnia te młode duszyczki; one przecież nie przejawiały żadnego zainteresowania takimi sławami jak Iwaszkiewicz, Putrament czy Dobraczyński? Otwarty pamiętnik akurat podaje dziewczę o niebieskich oczach, z dwoma dołeczkami w twarzy. Wymykanam się spod ramienia stojącemu przede mną i przechylam się przez ladę recepcji. Teraz wszystko widzę i słyszę doskonale.

— Jak pani na imię? — pyta nieznaną mi osobiście pisarz wpisując dedykację.

— Ania — szepcze i romantycznie płoni się właścicielka pamiętnika.

Opieram się rękami o barierę recepcji unosząc nogi nad posadzkę. Odczytuję:

Ja do Ani, Ani, Ani
A Ania, ani, ani, ani...

Jan Izidor Sztudynger

A więc to popularny Sztudynger! Cała Polska zna fraszki Sztudyngera, a ja go dopiero przed chwilą zobaczyłem po raz pierwszy w życiu... Święty fraszkopisarz oddaje z uśmiechem pamiętnik Ani. Ta, dziękując, dyga z przejęciem i pieczołowicie chowa pamiętnik pod ladę. Jan Izidor Sztudynger w następnych pamiętnikach składa już tylko autograf. Bierze klucz. Najpewniej jednoosobowego pokoju z łazienką, mimo że przyjechał z pobliskiego Zakopanego, myśląc zazdrośnie. Autor najlepszych fraszek erotycznych w Polsce idzie na górę do swego pokoju. Kolej na mnie. Podaję swój dowód osobisty tej samej co Sztudynger uczennicy-recepcjonistce. Sprawdza na liście moje nazwisko, podaje druczek meldunkowy. Postanawiam działać. Chwilę czekam bez słowa, z grymasem niezadowolnienia wpatruję się w ładną twarzyczkę. Za kilka minut dziewczę wręcza mi klucz do pokoju. Przybieram poważną, groźną minę, na jaką mnie tylko stać:

— A mnie panienki nie podają pamiętników? Ja też jestem poetą i przyjechałem na zjazd Związku Literatów — mówię, udając, że bardzo się złościę. — Jakże to tak, panienki, bardzo nieładnie z waszej strony! Co wy sobie myślicie!

Natychmiast przede mną wyrasta sterta pamiętników, nie mniejsza niż przed Janem Izidorem Sztudyngerem. Patrzę z udaną wyższością na kolorowe, ozdobne, ze złożonymi literami okładki.

— Proszę o pamiętnik Ani — mówię tonem jeszcze poważnym, a już lekko, dla rozładowania napięcia uśmiechając się.

Rozpromieniona wyróżnieniem (teraz wyróżnieniem!), Ania znajduje swój pamiętnik.

— Proszę poszukać strony, na której wpisał się pan Sztudynger.

Ania nerwowo, z przejęciem przewraca kartki, podaje otwarty na właściwej stronie pamiętniczek. Szybko wpisuję się tuż pod dedykacją popularnego fraszkopisarza. Natychmiast odchodzę zostawiając rozczarowane (teraz naprawdę rozczarowane!) koleżanki Ani brakiem mojej dedykacji również w ich pamiętnikach. Kiedy byłem już na schodach prowadzących na górę do mego pokoju, obejrzałem się w stronę recepcji. Wszystkie uczennice ściśnięte i przutulone do siebie pochylały się nad otwartym pamiętnikiem Ani. Odczytywały dedykację ze strony pamiętnika, która wyglądała teraz następująco:

Ja do Ani, Ani, Ani,
A Ania, ani, ani, ani...

Jan Izidor Sztudynger

Do Ani u Sztudyngera
Już ani, ani chęć szczerą

Czesław Kurjata

W taki oto sposób „ulożyłem” fraszkę prawie erotyczną, zazdrośnie sławy samemu Sztudyngerowi! Myślę, jak myślałem i wtedy, że święty fraszkopisarz wybaczyłby mi tamten krakowski fraszkowy żart Wiadomo, jaką bronią walczysz... Jednakże załóżę bardzo, że nie opowiedziałem podczas tamtego zjazdu Janowi Sztudyngerowi o zdarzeniu z pamiętnikiem Ani. Na pewno otrzymałbym reprimendę w postaci kolejnej fraszki. Gdyby tak się stało, wtedy niniejsza historia byłaby bogatsza! A może nawet doszłoby do długiego fraszkowego pojedynku, który — a nuż! — przeszedłby do historii literatury?

Zycie artysty w dawnych czasach

ZAPYTAJMY po prostu, co robił i jak żył Stefan Dylewski, człowiek urodzony w Lublinie w 1881 roku? Wiadomo: był malarzem po Imperatorskiej Akademii Sztuki w Petersburgu, gdzie studiował m. in. pod kierunkiem samego Riepina, by malować później pejzaże, portrety, sceny symboliczne i rodzajowe. Jego profesorowie byli by zapewne ukontentowani, oglądając realistyczny wizerunek służący w stroju krakowskim (1922), a następnie zaniepokojeni na widok „Autoportretu” w złocistej profilowanej ramie, który artysta wykonał w 1930 roku (wtedy właśnie zmarł Riepin), nie szczędząc barwy różowej w partiach twarzy, zharmonizowanej z leciutką mgielką fioleto na ciemnym garniturze. A później, gdyby jeszcze żył, w irytację niejaką mogłoby wpaść przed portretem szesnastoletniej panny Ireny, córki Dylewskiego, przedstawionej na jednolitym tle ostrej czerwieni, w roku 1934. W następnych latach, już zdecydowanie po drugiej wojnie światowej, artysta wyzwał dłoń swoją z akademickich prawideł i zaufawszy oku, jak impresjoniści, rozmalaował się w jasnym, rozświetlonych pejzażach z okolic Lublina i Kazimierza nad Wisłą, choć i wtedy nie zaniedbywał trzeciego wymiaru i linii określającej formy. No cóż, przez ponad pół wieku był grafologiem sądowym, kilkadziesiąt lat nauczał w szkołach, wykładając m. in. kaligrafię. Dziwić się tylko można, że tego rodzaju zajęcia nie stłamsiły w nim możliwości i odwagi samodzielnego widzenia świata, które przecież ujawniał, oprócz obrazów przeciętnych dając szereg prac pobudzających emocje, w tym zdumiewające siłą swej krystalicznej przestrzeni „Przedwiośnie”, zwane też „Stawinek — chata Dylona”. Prosta to kompozycja: na pierwszym planie trzy sterane wiekiem wierzby rosochate, o konarach wybiegających za górną krawędź obrazu, a za tą ażurową kurtyną — parterowa chałupa o białych ścia-

nach, strzechą kryta, za nią stodoła, dalej — horyzont eksplodujący niebem ogromnym z białymi i błękitnymi obłoki. Temat zwyczajny, niby nic, w kolorycie trochę refleksów poezji, w ryzach precyzyjną konstrukcją starych mistrzów realizmu, a przecież nieruchomieje człowiek przed tym niewielkim płótnem (50 na 72 cm), które zdaje się być panteistyczną apoteozą świata.

Brzmi to ładnie, nawet patetycznie, w przeciwieństwie do sugestii lirycznej kwoty 4500 zł, na jaką wyceniono obraz bodaj w 1962 roku, kiedy trafił on do muzeum „na Zamku”. Za taką sumę można dziś kupić kiepskie spodnie, a już w żadnym przypadku nie można tego honorarium porównywać z sumą 750 tys. zł, którą kilka miesięcy temu wojewódzkie władze kulturalne zamierzały wyłożyć za tryptyk współczesnego malarza, nawijając tym gestem do praktyk Medyceuszy, co piękne niezłym rekord świata w skoku w dal, ustanowiony w warunkach jakby specjalnych i od kilkunastu już lat nieosiągalny dla innych podłamanym tym faktem, zawodników. Trzeba jednak wiedzieć, że cztery i pół „paczki” to na początek szóstej dekady było coś, za co żyło się przez dwa miesiące. Inna sprawa, że takie okazje trafiały się wówczas bardzo rzadko, raz — dwa razy w roku, ale bywały i lata zupełnie suche. Zresztą przeciętne ceny obrazów wahały się wtedy w granicach 1500—3000 zł, a jedynym nabywcą dzieł sztuki były instytucje państwowe. Zlecenia na konkretne roboty ideologiczno-artystyczne wychodziły też z kregów kościelnych.

Dylewski namalował sporo obrazów religijnych, w większości jednak przed

Dokończenie na str. 10—11

Operować trzeba codziennie

Dokończenie ze str. 1

liłem papierosy, jednego za drugim, czując jak ulatnia się ze mnie energia. Wychowany w rewolucyjno-spartańskim duchu ZMP, nigdy nie korzystałem z tzw. uroków życia, a towarzyskiej kondycji starczało mi na przyjęcia imienninowe z herbatką i ciastkami. Tymczasem w „Europie” los postawił mnie w nowej, trudnej sytuacji, w ogóle chyba nietypowej. Otóż panowie i moja żona podjęli ostrą dyskusję na temat... twórczości Parandowskiego! Trwało to do późnych godzin nocnych. W rezultacie napaliłem się tak, że zaczęło mnie wręcz odrzucać od papierosów. Co prawda po półtora roku znów zacząłem kurzyć, ale dość szybko wyzbyłem się tej słabości.

— W restauracji, najlepszej zresztą wtedy w Lublinie, o literaturze! Owoczesnych studentów pańskiej macierzystej uczelni zapamiętałem jako baritowych protagonistów zupełnie innego fado.

— No cóż, każde pokolenie rozgrywa własną partię z życiem. Niejeden z nas, studiujących w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych, musiał pracować zarobkowo, choćby w wakacje, by związać koniec z końcem. W murach najstarszych domów akademickich lubelskiej dzielnicy uniwersyteckiej jest i trochę mojego trudu.

— W jakich okolicznościach zdecydował się pan na podjęcie studiów medycznych? Może we wczesnej młodości?

— Pani Zofia Książek, polonistka w chełmskim gimnazjum imienia Czarnieckiego, gdzie w 1949 roku otrzymałem maturę, zachęcała mnie do nauki w uczelni dramatycznej, jako że występowałem w teatryku szkolnym i w ogóle ujawniałem zainteresowania humanistyczne.

— No to kiedy, ostatecznie, widział pan przedstawienie w lubelskim Teatrze Osterwy?

— Chyba niedawno, ponieważ mam jeszcze w pamięci „Białe małżeństwo” Różewicza.

— Potuje pan?

— Jako obserwator, raz byłem na polowaniu i do dziś słyszę kwilenie postrzelonego zająca. Wystarczy.

— Wiązano pana przyszłość z teatrem. Z czym jeszcze?

— Bardzo mi bliska osoba twierdziła, że nieźle wyglądałbym w koloratce.

— Tymczasem chodził pan w czerwonym krawacie.

— A tak; w domu rodzinnym panowała atmosfera przedwojenna, ale na moją młodą wyobraźnię działała wizja Polski socjalistycznej, ujęta m. in. w monumentalnej perspektywie Planu Sześcioletniego. Głęboko zaangażowałem się po tej stronie już w ostatniej klasie gimnazjum, a na II i III roku studiów byłem przewodniczącym Zarządu Uczelnianego ZMP. Moje pokolenie nie miało „bujnej młodości”, ale miało za to idee. Może byłem nawet zbyt rewolucyjny, chociaż prawdą też jest, że hamowałem zapędy radykałów, narażając się na „ogień krytyki”. Zarzucano mi brak czujności, który spowodował, twierdzono, że do zarządów ZMP na farmacji weszło zbyt dużo młodzieży pochodzenia inteligentnego. Ale jak mogło być inaczej, skoro na tym wydziale studiowało wiele córek i synów aptekarzy! W końcu zdjęto mnie, z hukiem, ze stanowiska przewodniczącego, a głównym tego sprawcą był pański kolega po fachu, redaktor S., oczywiście nie pracujący jeszcze wtedy w dziennikarstwie. Dziś łączą mnie z nim przyjacielskie stosunki. Tamten incydent, co chyba też interesujące, nie zamknął przecież przede mną drogi do partii.

— Pańska młodość upłynęła więc pod hasłem: nauka — praca — socjalizm. A miłość, a kochanie, panie profesoro? Nie wierzę, że panny miały obojętnie wysokiego, przyszłego chłopaka, który chyba też nie zamykał wstydliwie oczu na ich widok.

— Owszem, owszem, ale takie sprawy rozwiązywało się wtedy szybko i raz na zawsze. Moja przyszła żona, córka nauczyciela rysunku w gimnazjum Czarnieckiego, studiowała w Politechnice Warszawskiej coś, co nazywało się „materiały wybuchowe”.

— Dobrze, w stylu epoki!

— A pobraliśmy się z Diwą już na II roku studiów.

— „Stara Baśń”?

— Nie, ktoś tam podsunął to imię.

— Oryginalne, ładne.

— Ale córce daliśmy już, na wszelki wypadek, zwyczajniejsze: Anna. Po raz pierwszy oficjalnie i publicznie wystąpiłem z przyszłą żoną przed Gustawem Morcinkiem, który przyjechał do Chełma na spotkanie autorskie z młodzieżą szkolną. Otóż po jednym z takich spotkań Diwa wręczała pisarzowi kwiaty, a ja dziękowałem mu słowem — przygotowanym na okoliczność przewidywanych przez nas wszystkich obozowych refleksji Morcinka. Tymczasem gość opowiedział coś innego: jak powstaje powieść. Diabli wzięli tekst, który wykulem na pamięć, i ratując się z opresji, powiedziałem: „Mistrzu, myślę, że będzie pan pisał książki jeszcze lepsze, niż dotąd”.

— W pańskiej pamięci Chełm trzyma się mocno.

— Nie pochodzę jednak z tego miasta. Urodziłem się i najmłodsze lata spędziłem daleko na wschodzie, w Tajkourach na Wołyniu, gdzie ojciec mój, polesiak, jako inwalida I wojny światowej otrzymał koncesję na sklep, by później dokupić cztery hektary ziemi, które uprawiał z teściem. Było to niewiele w porównaniu z majątkami legionowych osadników, którzy na przydzielonych im 15–20 hektarach gospodarzyli mądrze, albo i przepielali darowiznę. Ale powodziło nam się nieźle, nawet dobrze. Dom wielki, drewniany, kryty blachą wybudował ojciec, na obórę też położył blachę — tamtejszy znak zamożności — a tylko na stodołę leżała papa. W większości wieś była ukraińska, Polacy stanowili jakieś 30 procent ogółu mieszkańców. Do czasu, spokój panował w Tajkourach, występujące okresowo antagonizmy rozmywały się w nurcie codzienności, Ukrainka szła z Polakiem do ołtarza, Polacy, po przyjaźni, ze względów towarzyskich, chadzali do cerkwi, tamci — do kościoła; a w wielu naszych domach posługiwano się dwoma językami.

— Sielanka...

— Niezupełnie, jeśli spojrzeć na sytuację w szerszej perspektywie. Sprzeciw i rozżalenie budziła m. in. polityka wyznaniowa władz polskich, które wabiąc prawosławnych różnymi dobrami, próbowały nawracać ich na katolicyzm, zresztą na ogół bezskutecznie. Stwarzało to podatny grunt dla rozwoju nacjonalizmu, wymierzonego przeciw Łachom i stymulowanego przez odpowiednie organizacje ukraińskie, a następnie, podczas wojny, przez Niemców. Trudno jednak wyjaśnić racjonalnie to, do czego doszło w 1943 roku. W Tajkourach, z 30 kwietnia na 1 maja, zamordowano 93 Polaków. Bywało, że Ukraińiec stukał do drzwi sąsiada-Polaka, a kiedy ten, uspokojony, otwierał, otrzymywał cios siekierą. Pod siekierą zginęła też moja prababka, mająca prawie 100 lat, która przyszła do nas z wizytą, nie zastając jednak rodziny w domu. Ostrzeżeni przez innych Ukraińców — byli i tacy, choć nieliczni — nocowaliśmy gdzie indziej, unikając śmierci. Po pogrzebie ofiar pogromu przenieśliśmy się do Zdobunowa, gdzie zacząłem pracować jako goniec na kolei. Do Chełma przyjechaliśmy w 1945 roku, w ramach repatriacji. Wkrótce ojciec otrzymał koncesję na kiosk, który prowadził z matką aż do emerytury, a ja podjąłem naukę.

— W niektórych rejonach Polski repatriantów przyjmowano z nieufnością, zwąc ich pogardliwie „zabugotowcami”.

— Nie odczuliśmy tego w Chełmie. W szkole zostałem szybko zaakceptowany, byłem zresztą dobrym uczniem.

— Dlaczego wybrał pan studia medyczne?

— Zdecydował o tym przypadek. Po maturze przyjechałem do Lublina, by spróbować szczęścia na jakimś wydziale UMCS. Na placu Litewskim spostrzegłem, że najdłuższa kolejka potencjalnych studentów ustawiła się przed dziekanatem Wydziału Lekarskiego, więc i ja tam stanąłem, by złożyć dokumenty. Potem zdałem wstępny egzamin, rozpocząłem studia, od II roku pracowałem jako p. o. asystenta w zakładzie anatomii, okresowo — w zakładzie farmakologii, następnie w klinice profesora



Paweł Mistuna (na pierwszym planie) w pochodzie 1-majowym w Lublinie z początku lat pięćdziesiątych.

Fot. Archiwum

ra Skubiszewskiego, gdzie w 1954 roku otrzymałem już pełną asystenturę. Mieszkałem na stacji, w pokoju bez okien, ale nie było to takie uciążliwe.

— Razem z żoną?

— No nie po ślubie, który odbył się w trybie rewolucyjnym, ku osłupieniu i przerażeniu rodziców obu stron, zaskoczonych decyzją potomstwa, zamieszkaliśmy w budynku dzisiejszej „Estrady” przy placu Litewskim, gdzie ojciec żony otrzymał duży pokój słuźbowy z kuchnią. Obie rodziny pomagały nam zresztą materialnie, z tym, że ja ciągle pracowałem. Żona podjęła pracę po studiach

które ukończyła rok przed moim dyplomem, będąc już w ciąży.

— A cóż takiego robiła specjalistka od materiałów wybuchowych?

— Najpierw była mistrzem zmianowym w Pionkach, potem znalazła się w Swidniku jako „chemik-metalurg”, co łatwiej znosiła niż pełną napięcia atmosferę zakładu, kształtowaną hasłem „Wróg nie śpi!” Zatem opuściła WSK i związała się z naszą Akademią Medyczną, gdzie jest dziś adiunktem w Zakładzie Chemii Ogólnej.

— O ile wiem, zaraz po ukończeniu studiów został pan sekretarzem Komitetu Uczelnianego PZPR. Czy to prawda, że profesor Skubiszewski masował wtedy: „Pan jest dobrym sekretarzem, bo tego nie widzę, a widzę, że pan pracuje”?

— Tak, coś w tym sensie. Wie pan: chirurg to modelowy przykład człowieka pracy permanentnej. Kiedy po kilkumiesięcznych pobytach za granicą, w Moskwie czy Londynie, wracałem do praktyki klinicznej, to ku własnemu zaskoczeniu stwierdzałem, że muszę sobie to i owo przypomnieć, ponownie ćwiczyć rękę. Trzeba operować codziennie. No i wyrabiać w sobie wielką cierpliwość. Przeciętny zabieg w chirurgii naczyń trwa od trzech do czterech godzin, a wystarczy jeden szew źle założony, by cały wysiłek poszedł na marne.

— Jak to wyglądało w przypadku chirurgii przełyku, która obecnie określa pańskie główne zainteresowania?

— W minionej dekadzie zajmowałem się naczyniami i przełykiem, teraz, od ponad sześciu lat, koncentruję się na chirurgii tego drugiego organu, wykonując i inne operacje, o czym pośrednio już wspominałem, przedstawiając profil naszej kliniki, w której pracuje 20 osób. Chorzy z destrukcją przełyku, spowodowaną np. nowotworami czy oparzeniami, trafiają do nas bardzo często, bo w regionie tylko my zajmujemy się tym odpowiednio szeroko. Niedawno operowaliśmy pacjenta z przebiegiem przełyku w efekcie oparzenia, co powoduje ciężki wstrząs dla organizmu i groźną infekcję, zmuszając chirurga do blyskawicznego, w miarę możliwości, działania. Trzeba było usunąć choremu cały przełyk, oczyścić otoczenie, zdrenować, a następnie zrobić mu nową lecz naturalną drogę przełykania pokarmu — przez doprowadzenie do tego miejsca jelita biodrowego i prawej połowy okrężnicy.

— Biodrowego?!

— A którego? Trudne do leczenia są też ostre zapalenia trzustki, szczególnie zaś, bo późno rozpoznawalne — nowotwory tego organu. Krwotoczne, martwicze zapalenia trzustki wymagają nawet czterokrotnego otwierania jamy brzusznej, ponieważ wycięcie zmartwiczonej części nie musi prowadzić do definitywnego zahamowania procesu chorobowego. Bywa, że następne partie trzustki ulegają martwicy.

— Nie można leczyć bez pomocy noża? Ponoć sporo szans nieśmiertelnych, niekonwencjonalnych, daleko wschodnich, chińska, bodaj magiczna...

— Chińska, owszem, ale tylko do pewnych granic. Przyszłość medycyny wyznacza rozwój nowoczesnej aparatury diagnostycznej i farmakologii, w mniejszym stopniu — techniki operacyjnej. Wiadomo, że takich aparatów i leków mamy w Polsce ciągle za mało.

— Brakuje nawet środków opatrunkowych i pospolitej wody utlenionej.

— W naszej klinice przydałaby się porządna ultrasonografia. Tymczasem cieszymy się posiadaniem nowoczesnej aparatury do endoskopii, która umożliwia precyzyjną diagnostykę oraz — proszę zauważyć — leczenie bez operacji. Ponadto, w nieodległej przyszłości, otworzymy wreszcie oddział intensywnej opieki pooperacyjnej. Tak, działa coś takiego już teraz, ale w formie „bardzo mocno zastępczej”, a to m. in. z powodu ciasnoty panującej w szpitalu. Sytuacja ulegnie zmianie z chwilą przeprowadzenia się Kliniki Chirurgii Naczyń (kierowanej przez docenta Jerzego Michalaka) i Kliniki Neurochirurgii do PSK 4.

— Słyszałem, że niedostatek nowoczesnych urządzeń, które ułatwiają przeprowadzanie operacji, ma przynajmniej jedną dobrą stronę: wyrabia u naszych chirurgów niebywałą sprawność manualną i refleksy.

— Prawda, na Zachodzie, w przeciwieństwie do nas, tracą głowę na przykład przy byle większym krwotoku. Zachowajmy jednak racjonalne proporcje przy ocenie tych faktów.

— A jak oceniliby pan swoje dotychczasowe życie, zawodowe i społeczne, jeśli w ogóle można te sfery traktować oddzielnie?

— Chirurgia dostarczyła mi wiele satysfakcji. Zauważę tylko, że nie wszystkie autentycznie wielkie idee, które przyświecały aktywności społeczno-politycznej mojego pokolenia, doczekały się spełnienia, uniknęły deformacji.

— Chciałoby się zapytać, czy ludzie nie dorobili do idei, czy też idee przekraczały ludzkie możliwości? O ile wiem, nadal udziela się pan społecznie...

— Tylko w miarę wolnego czasu, którego ciągle brakuje. Przewodniczę Wojewódzkiemu Komitetowi Pokoju, oddziałowi Towarzystwa Chirurgów Polskich, będąc zarazem członkiem zarządu głównego tej organizacji.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmowę przeprowadził Ireneusz J. Kamiński

Lament nad szkołą

Dokończenie ze str. 1

rzyskiego wyzycia się poza domem. Ich zaplecze materialne to ulokowane w dobrze płatnym zawodzie małżonek. Możliwości awansu nauczycielskiego są prawie żadne, a frustracja nauczyciela płynąca z obserwacji wciąż nowych grup młodych ludzi jeszcze mających nadzieję na karierę, przy jednoczesnym zatrzymaniu w martwym punkcie własnego życia, bywa bardzo bolesna. To w swej istocie smutny zawód.

Próba rozbicia anachronicznego wizerunku nauczyciela-Katona na rzecz nauczyciela-przewodnika po wiedzy i życiu napotykać zacieklej opór ze strony starszych przedstawicieli pedagogicznego grona. Zupełnie opacznie rozumieją oni proces kształtowania swego autorytetu. Tymczasem choćby uczniowska trawestacja profesora na „sora” oddaje całą istotę sprawy. To nie prosty skrót językowy, to już skrót myślowy. Profesorowie funkcjonują na uniwersytecie.

Dodajmy do tego obciążenie nauczyciela całą gamą obowiązków nie mających żadnego związku z nauczaniem i wychowaniem. Szkoły zalewa biurokracja; tysiące formularzy i zestawień statystycznych, z których nie nie wynika, a które po roku czy dwóch wędrują po prostu do kosza. Nauczycieli zatrudnia się do sprawdzania ciapów i wyszukiwania w toaletach palących, do patrolowania ulic i kawiarni. Obniża to autorytet zawodu, wystawia go na śmieszność. Nauczyciel nie może być woźnym, ani milicjantem. Cała ta sytuacja, mająca jeszcze wiele pochodnych, odstrasza jednostki bardziej przedsiębiorcze i ambitne. Pech w tym, że wszyscy o tym wiedzą i nadal wszystko pozostaje bez zmian.

— Ile lat pracujesz w zawodzie?
— Dwa.
— I nabierało się aż tyle goryczy?
— To nie gorycz. To ogromny niepokój. Szkoła odpowiada za zbyt wiele w społecznym życiu, żeby ją można tak zostawić.

— Więc kolejna reforma?
— Tylko długofalowa i głównie w sposobie myślenia. Na to nie potrzeba pieniędzy. Potrzebna jest właściwa koncepcja. Sam profil nauczania musi ulec odpowiedniej modyfikacji. Nowoczesna szkoła na świecie, to szkoła wczesnej specjalizacji. Obecny stan ludzkiej wiedzy wyklucza przecież z założenia istnienie „omnibusów” typu renesansowego. Tymczasem my uparcie lansujemy wykształcenie o jak najszerszym profilu. Owocuje to produkcją ogromnej rzeszy młodych ludzi z wysokimi aspiracjami, lecz pozbawionych zawodu. Nadal pokutuje dziwne przekonanie, że jedynie liceum ogólnokształcące jest odpowiednim miejscem dla młodego człowieka z „porządnego” domu. Stosunki społeczne uległy ogromnym przeobrażeniom, a mentalność ludzka pozostała bez zmian. Nasi maturaści wyposażeni są w wiedzę ogólną w stopniu wyższym niż ich koledzy z innych krajów. I co z tego wynika? Niepowodzenie przy egzaminie wstępnym na wyższą uczelnię stawia ich na życiowym rozdrożu, powodując frustrację i żal do źle skonstruowanego świata. Dlatego niepodważalnym dogmatem pozostaje matura z matematyki i równocześnie z je-

zyka polskiego? Cała wiedza matematyczna już dawno wyparowała mi z głowy, a poziom „uhumanistycznienia” inżynierów i techników dowodzi powszechnie, iż w ich przypadku podobnie stało się z wiadomościami o Młodej Polsce. Czynione dotąd próby specjalizacji, czy tzw. klasy profilowane, to zabieg czysto kosmetyczny. Sens istnienia liceów ogólnokształcących jako takich w ogóle poddają w wątpliwość.

Dorzeczność powyższego wywodu udowodniło już życie. Powstało i powstaje coraz więcej szkół zawodowych, techników specjalistycznych, odeszły w przeszłość gimnazja o profilu klasycznym itd. Potrzebne są dalsze zmiany. Liceum powinno się stać humanistyczną szkołą zawodową. Dlaczego uzdolniony matematyk ma nadal cierpieć z powodu braku predyspozycji na polonistę i vice versa? Ileż dużych talentów unicestwiło dotąd owo wykształcenie ogólne? A problemu tego nie rozwiążą kola zainteresowań, gdyż coraz ich mniej. Szkoły-kombinaty nie mają na taką działalność ani czasu, ani warunków. Stąd absolutna konieczność zmian programowych.

— A przekazywanie treści?
— Jest całkowicie pozbawione dynamiki. Nie chodzi tu nawet o wprowadzanie z dużym opóźnieniem nowinki techniczne czy najnowsze zdobycze wiedzy. Chodzi o całokształt dorobku intelektualnego, w tym o szeroko pojęte wychowanie. W przekazywaniu tego dorobku obowiązuje nadal zasada pełnej bierności ucznia przy częściowej aktywności nauczyciela i wiodącej roli podręcznika. To znajomość sformułowanych w nim poglądów decyduje o ocenie. Większość tych podręczników liczy sobie po dwadzieścia i więcej lat. Niemal niepraktykowaną zasadą jest wielorakość tekstów. Własna zaś interpretacja omawianych zjawisk traktowana jest w najlepszym wypadku jako żalosny przejaw młodzieńczego buntu. Dyskusja, wyrabiająca umiejętności indywidualnego procesu myślowego, w praktyce nie istnieje. W ten sposób liceum nie potrafi nawet przygotować kandydata na studenta co uważa za swą główną powinność.

W nauczaniu humanistycznym obowiązują mity i schematy powielane od lat. Wyszukamy koncepcję „wychowania dla pokoju” przy jednoczesnym braku treści internacjonalistycznych w nauczaniu. W głoszeniu hasła ogólnoludzkiego nadal dominuje model zaściankowo-nacjonalistyczny. Pogłębiająca się integracja świata nie znajduje w naszych programach żadnego odbicia. Treści ludzkie przekazywane są w zupełnym oderwaniu od ich humanistycznego wyrazu. Prezentowanie historycznych czy literackich wielkości mieści się nadal w ramach pomnikowego spiżu, a ich życie wypełnione jest bielą i prawnością, od której uczniowi robi się niedobrze. Każdy problem z dziedziny historii czy języka polskiego opatrzone jest odpowiednią etykietą, a jego interpretacja z góry narzucona. Uczeń odpowiada na przykład z tematu „Agresywna polityka USA po II wojnie światowej”, nie zaś z tematu „Polityka USA po II wojnie światowej”, aby w ten sposób samemu dojść do odpowiedniego przysmiotnika. To tylko przykład. Być może, że w pierwszym sformułowaniu

chodzi o wychowanie ideologiczne; ale jeśli tak, to prowadzone diabło niezręcznie. Współczesny uczeń bombardowany jest taką masą informacji, pochodzących z rozmaitych źródeł, że każde twierdzenie już „opakowane” interpretacją zupełnie doń nie dociera. Nauczanie języków obcych prowadzone jest w większości szkół metodą gramatyczno-tłumaczeniową, co stwarza ustawiczne bariery w poruszaniu się po świecie, literaturze fachowej i w próbach podjęcia studiów filologicznych, gdzie wymaga się biegłej, praktycznej znajomości języka. To tylko niektóre przykłady.

— Co więc stoi u podstaw takiego braku dynamiki?

— Programy. W konieczności ich realizacji do najdrobniejszego punktu zatracamy wychowanie, budzenie zainteresowań i autentycznych pasji, indywidualny kontakt z uczniem, spontaniczność procesu lekcyjnego. Lekcja musi się odbywać według ściśle opracowanego scenariusza. Musi mieć początek, rozwinięcie i zakończenie jak w starożytnym wypracowaniu mało pojętego esejisty. Rozpoczęcie — to sprawdzenie obecności i odpytanie z pracy domowej; rozwinięcie — to wprowadzenie nowego materiału z podręcznika; zakończenie — zadanie kolejnej porcji do przerobienia w domu. Czy to nie jest nudne? Czy nie jest to źródło frustracji? W ogóle brak polskiej szkole „luzu”. Stereotypy narzuconych zachowań odbiegają całkowicie od naturalnego sposobu bycia młodzieży. To jakby dwa odrębne światy. Problemy, które fascynują ucznia, są albo zupełnie nieobecne w szkole, albo występują w formie szczątkowej. Dominuje bezmyślna pamięciowa „orka”. Tymczasem ta młodzież jest naprawdę wrażliwa i intelektualnie pobudliwa.

— A wychowanie?

— Na to nie ma czasu. A przecież uczeń spędza trzy czwarte swojego aktywnego życia właśnie w szkole. Jest to czas wychowawczy stracony. Tzw. lekcje wychowawcze stanowią najczęściej uzupełnienie wiedzy z zakresu „Wiadomości o Polsce i świecie współczesnym”. Kłopoty, z którymi boryka się dojrzewający młody człowiek, wielkie problemy etyczno-moralne, nie są zupełnie dyskutowane. Czasami zastąpi je jakaś nudna pogadanka. Nie dziwnego, że rozwiązania tych dylematów młodzież poszukuje gdzie indziej, poza szkołą. Albo te akademie i uroczyste apele. Jak mało w nich życia! Niewiele różnią się od choćby międzywojennej szkolnej sztampy. Tylko tematy są inne, no i brak owych świeżych ozdóbceczek, które wówczas stanowiły regułę. To jeszcze jeden dowód na to, że szkoła stoi w miejscu.

Uczestniczyłem kiedyś w letnim obozie językowym, gdzie Święto Odrodzenia uczczono dyskusją o najnowszej historii Polski na tle biało-czerwonej flagi. Trzeba było posłuchać tej wymiany opinii, spontaniczności i racjonalizmu, który się tam przewijał. Gdyby, na przykład, zapytał przeciętnego ucznia liceum ogólnokształcącego, jaki jest dorobek socjalizmu w Polsce, w odpowiedzi usłyszelibyśmy zapewne o reformie rolnej, rozwoju przemysłu, nacjonalizacji głównych gałęzi gospodarki itp. Wszystkie te hasła pozostałyby martwe. Dlaczego nie wypełnić ich normalnym życiem? Dla tego pokolenia sprawa bezpłatnej nauki, bezpłatnego lecznictwa czy swobodnego chodzenia po palacowych parkach jest sprawą oczywistą. Przypominanie o tym, że nie wszędzie tak jest i nie zawsze tak było, bardziej

przemawia do wyobraźni niż wyliczanka cyfr i sporządzanie bilansu.

Ogromnym minusem procesu wychowania jest także brak zasady partnerstwa między nauczycielem a uczniem, opartego, rzecz jasna, na prawdziwym autorytecie pedagoga. Coś w rodzaju takiej „demokracji kierowanej”. Taki układ nie mieści się w ogóle w szkolnym kanonie praw. O jakim wychowaniu można tu zatem mówić? Pośrednim efektem istniejącej sytuacji jest choćby fikcyjność samorządów uczniowskich. Wiele inicjatyw wychodzących od młodzieży jest programowo bojkotowanych przez kadre pedagogiczną, ale jeszcze więcej porażek wynika z własnej nieudolności i braku „samorządowego” doświadczenia. Młodzież tymczasem nie uznaje autorytetów „z nakazu”. Taka była i taka jest. Prawdziwe współdziałanie po obu stronach klasy to jedyna droga do realizacji jakiegokolwiek procesu wychowawczego.

— Czy mnożenie negatywności ma sens?

— Ogromna większość tych, których naprawdę obchodzi polska szkoła, potwierdzi w pełni moje słowa. Dorzuci także na pewno jeszcze wiele innych ciekawostek.

— Pozostaje więc zmienić zawód.

— Kiedy ja go lubię, by ująć to najmniej patetycznie.

Oświata nie od dziś wyrosła na „chłopca do bicia”. Obejmuje wszak tak ważny aspekt narodowego życia, odpowiada za tak wiele, iż w naturalny sposób skupia na sobie uwagę całego społeczeństwa. To fakt, że znajdują się na niej wszyscy, co tym bardziej utrudnia jej właściwe, racjonalne widzenie. Czy oznacza to, że należy zaniechać o niej dyskusji? Przeciwnie. Może z wielością głosów, złożonością punktów widzenia zrodzi się jakaś klarowna koncepcja jej prawidłowego funkcjonowania. Co więcej, cały wzmiarkowany proces musi być procesem ciągłym, dynamicznym, wciąż czulym na zmiany warunków i zachodzące w otoczeniu przemiany; proces reformowania szkolnictwa powinien być zatem dokładnie odwrotny od aktualnego stanu nauczania, przynajmniej widzianego tak, jak go opisał mój rozmówca. Jego głos wcale nie jest odosobniony. Powtarza się w opiniach wielu młodych, a nawet i starszych nauczycieli, z którymi się zetknąłem. Potwierdzają to także liczne pamiętniki i wspomnienia pedagogów.

Dziwne wsparcie wyrażonych powyżej poglądów nadeszło także z zupełnie nieoczekiwanej strony; ze strony owych urzędniczych teoretyków kształtujących za biurka oblicze polskiej szkoły. Przed kilku dniami prasa przyniosła następującą informację: „W resorcie oświaty i wychowania działają zespół ds. doraźnych zmian w programach nauczania szkoły podstawowej. Rozważa się m.in. możliwość korelacji treści między poszczególnymi przedmiotami, usunięcie lub uszczuplenie powtarzających się partii materiałów, zmniejszenie obciążenia uczniów zbędną w wielu przypadkach wiedzą pamięciową, zmniejszenie zakresu niektórych części materiału programowego”.

Brawo! Oby tylko te rozważania nabrały tempa, bo życie ucieka. A od szkoły podstawowej zaczyna się wszak to wszystko.

Henryk Więclawski

Zderzenie

KOREPETYCJE DLA MISS

OTO RUSZYŁA JUŻ wybojczyca maszyna, która z nieprzebranymi — jak się ociekają — rzesz polskich i lubelskich panienek w wieku 18-21 lat walani tę najpiękniejszą, by zwinąć jej czelno korona z napisem „Miss Polonia 87”.

Zachłapanej z placu — nie mającej nawet czym obrzeć noska, co widać było na ubiegłorocznym finale — spóźnioną z trudu konkursowych ewolucji mias wroczone zostana kluczyki do Toyoty Corolli. Wcale nie jest pewna czy prezent ów toczyła na twarzy panienki najpiękniejszej i najszczęśliwszej uśmiech. Bowiem kandydatki, co też pokazały telewizyjne migawki, nadal są chmurne, naburmuszone, zle lub szczerzące zębki w niby-uśmiechu. I potem taka koronowana, nabudowana smutaska panować nam będzie cały rok, obnożąc po świecie „Kryzysowa” minę.

A wystać panny na korepetycje! Te nie umiejące się śmiać i uśmiechać chociażby do „Ludzi Masztelarsza” z radiowych czterech pór roku. Ci dopiera rzeza ze śmiechem! A wszystkie inne kandydatki na miss na korepetycje z bicia i obijcia, tudzież chodzenia po schodach? No się im dłużej od stóp do czola nośi czegoś pękają po stopniach do tej najlepszej z karier.

CO CI HOLENDRZY NAROBILI!

POZNĄ JESIENIĄ ubiegłego roku pokazało się w lubelskich sklepach holenderskie masło. Zółciutkie, pachnące, o smaku prawdziwego masła aczkolwiek nie delikatesowego, a najzwyklejszego, kuchennego. Ta przelotna degustacja holenderskiego artykułu codziennego spożycia nie po raz pierwszy ustawiła nam rytycznym zadaniem wrobuw Okręgowy Społdzielni Miazczarkiej pod nazwami „Extra-Chłodnicze”, „Delikatesowe”, „Smietankowe”. Jak dalece różniła się one od holenderskiego. Wzamy nasze „Smietankowe”. Gdzież ta smietanka? — chciałoby się zapytać. Owo — trudno to nawet wstrząść masłem — nie rozmarowuje się — gładko po chlebku, jakby ułożono produkt na to wskazano, a topi się, brzydząc po oczach i całej kuchni. Pewnie ta smietanka, z której została zrobiona „Delikatesowa” zaś masło jest białe i najczystsze bez smaku, albo plekące. Inne zalety — podobne do „Smietankowego”.

I co najlepszego ci Holendrzy nam zrobili! A to, że zachodźmy teraz w głowę, ilu to ludzi trzeba w naszych OSM zatrudnić, ile maszyn uprządków to rucha, ilu wskazników, norm, procentów przestrzeżać, by produkowane tak niesmaczne masło?

Kraj ponów zalewa rzeka mleka, a konsumentów zółci i żali.

(dey)

ACH, DZIENNIKARZEM BYĆ!

TAKIE MARZENIE lebiło się zapisane w głowie każdego człowieka w latach dwudziestych, zwłaszcza w

filisterskim Krakowie. Ukazują się tamże „Głos Narodu” zawsze gdzieś około Nowego Roku przynosił informacje o mających się odbyć w porze karnawału „redutach” i balach dla dziennikarzy im bliżej było owym uczestnikom chwili wiadomości w gazetach towarzyszyły im atrakcyjność. Oto „Głos Narodu” z 1 lutego 1923 roku donosił: „REDUTA PRASY. Jeszcze tylko jeden dzień dzieli nas od balu dziennikarskiego, który — jak corocznie — stanowić będzie ciał całego karnawału. Spośród licznych występów Reduty najciekawsze zainteresowanie wzbudza losowanie bonów [...]. Dalsze nagrody obejmują szereg cennych podarunków, jak obraty złotych medalów itd. Nadto komitet przewidział stół zegarów ze złotym taceuskiem jako nagrodę dla najpiękniejszej, zaś piękny wachlarz, zdobny ręcznym malowaniem, dla właścicielki najbardziej efektownego kostiumu”.

Czyż nie chciałoby się dzisiaj zejść radości jakiegokolwiek balu dziennikarskiego, nawet bez przystawienia owych wachlarzy i złotych zegarów, no, co najmniej z szóstką losowania bonów, jakichkolwiek choćby. Tylko czy dziennikarstwo aby zastąpiło na jakiś bal w ogóle? Czyż porafrta wypłynąć tak zwymna i balawatne dla ogółu wiadomości, jak choćby za zamieszczona wujek?

(w)

kamena

Folklor to nie wszystko

WKONCU stycznia usłyszałem w radiu głos Jurka Chłodnickiego. Audycja, w której występował „Cztery pory roku”, przygotowana przez rozgłośnie Polskiego Radia w Zielonej Górze, poświęcona była w całości sprawom kultury i działalności kulturalnej w małych miasteczkach. Jurek występował jako jeden z dyskutantów. Przez kilka lat Chłodnicki wraz z żoną prowadził Uniwersytet Ludowy w Gardzienicach pod bliźnim, stale zaglądał do „Kamena”, gdzie drukował swoje wiersze. Potem oboje przenieśli się na zachodni skraj Polski, do Uniwersytetu Ludowego w Kłodnicy w Zielonogórskim. Teraz Jurek — jak się okazało — pracuje w „Dzienniku Ludowym”, pisując na tematy kulturalne Ziemi Lubuskiej.

Jednym z problemów postawionych w audycji było zasadnicze, jak ma działać wykładaczką prac domowych kultury tak przychodzą do nich młodzież i czy ma sens lansowany przez wiele placówek tego typu model festiwalowo-festynowy, jak ma wyglądać ta praca na co dzień... W prezentowanych na antenie krótkich reportażach-wywiadach zabierał głos różni ludzie, związani i nie związani z działalnością kulturalną. M.in. kierownik miejskiego domu kultury w Lubsku, będący zarazem piosenkarzem i autorem tekstów do muzyki, która sam komponuje na gitarze, nie bojąc się w dodatku występować publicznie, zarówno w prowadzonym przez siebie domu kultury, jak i na okolicznych estradach i estradkach, reklamując w ten sposób swą placówkę. Była także rozmowa z kolnerką z jakiejś trzeciorzędnej knajpy, która ze swadą opowiadała, jak to jest w jej lokalu kulturalnym. Tutaj nie ma miejsca dla łobuzów dziesiątych nożami i walających na odlew kłonicami, a goście, jak mała coś do siebie, wychodzą na zwalnianie i stają do uczciwej walki na pieśń, bez kopania tego, który upadł na ziemię, i leszcze dodają, że nie znosi ptaków do nieprzytomności niezaczyn, ale lubi takich, co wypląta sobie kilka głębszych i są pod dobrym humorem, przynajmniej jest obsłużać takich właśnie — ludzi uśmiechniętych...

I wtedy włączył się do dyskusji Jurek Chłodnicki i powiedział, że ludzie i instytucje zajmujące się w Polsce kulturą oraz jej krzewieniem mają przed sobą do rozwiązania niezwykle trudny dylemat: jak wypełnić ten środek, ową lukę istniejącą pomiędzy katastrofalnie wielkim środowiskiem „ludzi uśmiechniętych” a ponurą ciszą domokulturowych „miejsce nobliwych”...

Rozmawiam teraz o tym wszystkim z dyrektorem Wojewódzkiego Domu Kultury w Lublinie, Mieczysławem Ciesielskim, w jego gabinecie: co jest dzisiaj potrzebą, co koniecznością, a co może być szansą w obecnej, nowoczesnej pojmowanej działalności kulturalnej. Może łatwiej nam rozmawiać, bo spoglądamy obaj na to, jak kształtowała się u nas od lat działalność kulturalna, z podobnej, ponad trzydziestoletniej perspektywy?

Ja w 1954 roku związałem się z działalnością kulturalną lubelskiego Zrzeszenia Studentów Polskich; dyrektor w 1954 r., jeszcze jako bardzo młody człowiek, zaczął swą pracę w kulturze, w Wydziale Kultury PMRN w Lublinie, w lokalu mieszczącym się wówczas w budynku przy ulicy Krakowskiego Przedmieścia i ulicy Lipowej. Trafił w krąg ludzi pełnych zapału, których cechowała przede wszystkim jedna wspólna rzecz: nie byli urzędnikami kultury. Jedno z pierwszych zadań, jakie otrzymał, to było polecenie organizowania w ciągu lata w każdej niedzielę imprezy rozrywkowej w muzeum koncertowej w Ogródku Saskim. I — jak wspomina teraz dyrektor Ciesielski — już to pierwsze zadanie musiał do tego, aby nauczył się działać, a nie — urzędować za biurkiem.

Przepracował M. Ciesielski, jak dotąd, trzydzieści trzy lata w lubelskiej kulturze. Pracując, robił na UMCS studia pedagogiczne, zaczął jako instruktor do spraw upowszechniania w Wydziale Kultury PMRN, potem prowadził Młodzieżowy Dom Kultury na lubelskim Zamku, od 1958 r. przez dziesięć lat był Merownikiem Dzielnicowego Domu Kultury na robotniczych Bronowicach, placówki uznanej za wiodącą wśród tego typu w Lublinie; od 1967 do 1974 r. kierował Młodzieżowym Domem Kultury „Pod Akacją” na Starym Mieście; trafił stamtąd na pewien czas do Wydziału Propagandy KW PZPR; w 1974 r. został powołany na stanowisko dyrektora Teatru Lalki i Aktora im. Andersena; w roku 1980 objął stanowisko zastępcy dyrektora Filharmonii Lubelskiej do spraw administracyjno-organizacyjnych. Od 1 listopada ubiegłego roku Mieczysław Ciesielski jest dyrektorem Wojewódzkiego Domu Kultury.

— Więc jak jest z tą kulturą na dzisiaj, na co dzień? — pytam. — Jakimi drogami, jakimi sposobami zmierzają w obecnych nielatach czasach do wypełnienia owej wspomnianej

przez Jurka Chłodnickiego luki kulturowej, narastającej wokół nas? M. Ciesielski odpowiada, że przede wszystkim trzeba sobie zdać sprawę z faktu, co jest już etapem ostatecznym zamkniętym w działalności kulturalnej. I także — sprecyzować dokładnie cel, jaki rysuje się przed działaczami kultury. Ten cel to m. in. uświadomienie sobie, że zapotrzebowanie kulturalne społeczeństwa zmieniło się w ciągu minionych dziesięcioleci, że powszechność mass mediów, docierających do najmniejszej wioski, wyznacza zupełnie inne kierunki działania kulturotwórczego i dydaktycznego.

Dla lubelskiej działalności kulturalno-oświatowej wciąż modelowym okresem — i jakże słusznie! — są lata, gdy lubelska kultura miała za swoje centrum Zamek, gdzie zlokalizowano w połowie lat pięćdziesiątych miejski, a potem Wojewódzki Dom Kultury, gdzie znalazło swoje miejsce Muzeum Lubelskie i gdzie również działał w kilku pokojkach Wydział Kultury PMRN. Ale Zamek — dodaje zaraz Mieczysław Ciesielski — w wypadku lubelskiej kultury lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych to nie gmach, nie instytucja w nim się mieszcząca, ale przede wszystkim środowisko wokół



WDK w Lublinie.

Fot. Zbigniew Jaskiewicz

Zamku skupione. Z jednej strony — działacze kultury, pedagodzy, artyści, ludzie o wielkim doświadczeniu życiowym i zawodowym, z drugiej — bardzo liczne grono młodzieży, zafascynowanej współpracą i współdziałaniem z tymi ludźmi, Zamek to dzisiaj już swoista legenda lubelskiej kultury. Ludzie, którzy przez Zamek się przewinęli, to orędownicy pewnego stylu pracy, określonego modelem upowszechniania kultury, jaki ponieśli oni ze sobą następnego do innych placówek w mieście i w województwie. I także — w niektórych przypadkach — do ośrodków centralnych.

Ciesielski podkreśla, że to, co zostało wypracowane na Zamku, ma dzisiaj charakter decydujący o obliczu kultury (zarówno profesjonalnej, jak i amatorskiej) naszego regionu. M.in. fakt, że region lubelski odnosi się z takim pietetem do sztuki ludowej, i że jest jednym z naleciańszych pod tym względem, że Lubelszczyzna posiada wybitne, na najwyższym poziomie stołce zespoły pieśni i tańca, że w Kazimierzu nad Wisłą od 26 lat organizowany jest cieszący się ogromnym powodzeniem Festiwal Kaneli i Śpiewaków Ludowych — to wszystko zasługuje tamtej „zamkowej” atmosfery i zanurzonego wówczas stylu pracy.

Dzisiaj rozwój sztuki ludowej na Lubelszczyźnie stał się przedmiotem zainteresowania UNESCO, a ostatnio tutajte osłabienia i wzorce działalności są obiektem zainteresowania działaczy kulturalnych z Turcji i Włoch. Goszcza niedawno w Lublinie pan Zdzisław Nabyła, dyrektor departamentu folkloru Ministerstwa Kultury i Turystyki rządu tureckiego, badał, jakie uruchomiono u nas mechanizmy, aby osiągnąć tak wysoki poziom folklorystycznego ruchu kulturalnego i artystycznego. Wład interesują się szczególnie założeniami i organizacyjnymi doświadczeniami Festiwalu Kaneli i Śpiewaków Ludowych.

— No dobrze — powiadam — ale folklor to nie wszystko, co interesuje współczesne polskie społeczeństwo. I na tym nie można się opierać. Dzisiaj mamy rok 1987, a młodzież marzy o komputerach i video-kasetach, a nie tylko o wycinaniu holubców na domokulturowej estradzie...

— I ja właśnie do tego zmierzam w naszej rozmowie — odpowiada Cie-

sielski. — Chodzi mi o to, że patrząc z satysfakcją na to, co dotychczas zostało dokonane, tym bardziej wnikiwie musimy spoglądać na współczesne potrzeby. Myślę, że jednym z kapitalnych problemów, rysujących się przed ludźmi oraz instytucjami parających się upowszechnianiem kultury, jest jak najszybsze podjęcie takich działań, które będą miały na celu nie tylko sprawy estetyki, ale także etyki. Dzisiaj, jak nigdy może dotąd, pojawia się potrzeba wdrażania w społeczeństwie traktowania kultury jako sposobu życia we współczesnym świecie. A nie tylko umiejscowienia „konsumowania kultury”. Uważam, że dzisiejszy pionier kultury musi także ogromnie wiele miejsca poświęcić problemowi właściwego ustosunkowania się do wspomnianego już „zalewu” społeczeństwa różnorodnymi formami artystycznymi. I nie tylko tymi niesionymi przez mass media, docierającymi równocześnie do wyrobionego pod względem kulturalnym, jak i zupełnie niewyrobionego odbiorcy.

— Z tej przysłowiowej samotnej chatki na skraju lasu?

— Chociażby. Już nie wystarczy przygotowywanie przeciętnego odbiorcy do zjawisk artystycznych i kulturowych wysokiej miary, do odbioru Dürrenmatta czy Becketta, którzy „zbiadził pod strzechy”. Ale także do odpowiedniej oceny dzieł wątpliwych artystycznie, jakimi często są bombardują środki masowego przekazu.

— Jak „Niewolnica Isaura”?



WDK w Lublinie.

Fot. Zbigniew Jaskiewicz

— Jak „Isaura” i wiele innych, jej podobnych.

— A co z formami kultury, ze świetlicami, do których nie bardzo chce chodzić dzisiejsza młodzież. Jak te luki wypełnić i czy w ogóle się da?

— Myślę — mówi dyrektor Ciesielski — że jedna z odpowiedzi może być tutaj przykład tego kierownika domu kultury w Lubsku pod Zieloną Górą, o którym wspominał na początku naszej rozmowy. Też, który występuje w prowadzonej przez siebie placówce, przed młodzieżą, z własnymi recitalami mosenkarskimi. Oczywiście to tylko jedna z form działania, i przy założeniu, że muzyka, jaka on uprawia, i mosenki, jakie śpiewa, wychodzą naprzeciw zapotrzebowaniu współczesnej młodzieży, jeżeli młodzież akceptuje to, co on robi. Ale w szerszym znaczeniu chodzi o to, żeby ludziom, których chcemy widzieć w placówkach kulturalnych, zaproponować takie warunki, taką działalność, lecz również takie wyposażenie placówki, jak tego wymaga współczesne rozumiany model życia. Kto ma w domu dobre radio, magnetofon, bardzo już przestarzały kolorowy telewizor, a nie ma i sprzęt video, nie będzie na pewno chętny do świetlicy wyposażonej w archaiczny adanter. Jeżeli chce się kogoś przekonać do wartościowych filmów, jakie można oglądać przy pomocy aparatury video, to przede wszystkim aparatura ta powinna znaleźć się w placówce kulturalnej, jeżeli ktoś interesuje się nowościami książkowymi, to musi znaleźć te nowości w bibliotece i domu kultury, jeżeli ma słuchać dobrej muzyki to ma jej słuchać przy pomocy dobrej aparatury odtwarzającej. Standard wyposażeniowy obiektu kulturalnego nie może być niższy niż standard, do którego już przyzwyczaili się przeciętni obywatele. Jeżeli chcemy, żeby ludzie chodzili do klubów to muszą one odznaczać się elegancją i właściwym wyposażeniem. I dlatego domaganie się dzisiaj przez ludzi pracujących w kulturze wzorowego wyposażenia placówek, dostępności prasy i książki (szczególnie w Kłodzku robotniczym i wiejskim) to nie jakieś tam próby „wyciągnięcia” młodzieży z państwa wsi kieszonki. To konieczność rozumiana jako inwestycja w kulturę społeczeństwa u nie chodzi mi tutaj jedynie o potrzeby artystyczne, w jego przyszłe estetyczne oblicze.

— Wierzyse, że to się uda?

— Tak.

Ekran i widz

Seks i polityka

SCENARIUSZ najnowszego filmu Tomasza Żygadły „Sceny dziecięce z życia prowincji” powstał w oparciu o nowelię Andrzeja Mencwela, lecz przecież u źródeł tego wszystkiego stoi słynna Stendhalowska opowieść o młodym parweniuzie z prowincjonalnego miasteczka, który dysponując urodą i nieprzeciętną inteligencją, ale także nieprzebiegając w środkach, zaczyna robić zawrotną karierę społeczną, aby nagle... runąć w najbardziej nieoczekiwanym momencie na samo dno.

Cóż z tego, że akcja powieści „Czerwone i czarne” toczy się w pierwszych dziesięcioleciach XIX wieku, we francuskich realiach, a film Żygadły jest jak najbardziej wyraźnie osadzony w polskiej rzeczywistości z ostatnich miesięcy 1979 i pierwszego półrocza 1980 roku? Droga na szczyt kariery niewiele się zmieniła od czasów, gdy Julian Sorel zaczął się wspinać po jej szczeblach, posługując się w tym pomocą kobiecą, a potem potężnych instytucji religijnych lub politycznych — wydał się nawet autorzy filmu. Nie zmienił się również mechanizm porażki, gdy w tej sprawie zemsta porzuconej kochanki i gdy na dodatek w postępowaniu bohatera uczucie weźmie górę nad chłodną kalkulacją.

Pewnie; Stendhal najbardziej interesowało zagadnienie (zarówno w przypadku Juliana Sorela, jak i Fabrycego del Dongo z „Pastelni Parmeńskiej”) tych właśnie nagwał zarobków w naturze człowieka, gdy skrywana gdzieś na samym dnie duszy pasła wypływa nieoczekiwanie na powierzchnię, niwecząc wszystkie jego

Życie artysty

Dokończenie ze str. 7

wojną. U jezuitów przy ul. Królewskiej w Lublinie znajduje się jego kompozycja z napisem u dołu: „Jezu ufam Tobie”, do której pozowała córka artysty — jak Fornarina, przyjaźniółka Rafaela, użyczającą swój twarzy postaciom świętych, akuratnie wymodelowanych przez temperamentnego mistrza. „Matka Boska Różańcowa” i „Święta Teresa” to z kolei obrazy znajome parafianom z ul. Kunickiego, lecz ponoć zagubione gdzieś podczas niedawnej translokacji poza Lublin drewnianego, harmonijnie zbudowanego kościoła, który, wzniesiony w 1930 roku według projektu naszego znakomitego Tadeusza Witkowskiego, musiał oto ustąpić miejsca murewanej „nowoczesności” ze stałą w trzewiach.

Natwój jest jednak ten, który sądzi, że Dylewski utrzymywał siebie i rodzinę z twórczości. Środków do życia dostarczała praca w szkołach średnich, po części — w sądownictwie. Zresztą nimal wszyscy malarze lubelscy egzystowali dzięki belferom. Zapytajmy więc po prostu i głupkowsko, czy życie artysty w dawnych czasach mogło być szczęśliwe?

Dylewski wystawiał w Lublinie, czasami w innych miastach. Spordycznie, w odstępkach wieoletnich, otrzymywał jakieś nagrody, najwyższą, wojewódzką, dopiero w osiemdziesiątym pierwszym roku życia, niedługo przed zgonem (1966). Ale szanowano go w mieście. Pan rzeźnik Jeslikowski, bogaty właściciel kamienicy czynszowej przy ul. 1 Maja śmiertelnie zadurzony we własnej żonie, którą obсыpywał brylantami, otóż pan Jeslikowski nie tylko kupo-

dotychczasowe, często wieloletnie, skrupulatne poczynania. Autora filmu „Sceny dziecięce z życia prowincji” bardziej poełaga kontekst społeczno-polityczno-obyczajowy mechanizmów kariery. Ale tak czy owa, związek filmu Tomasza Zygadły z powieścią „Czerwone i czarne” są aż nadto przejrzyste. Można by zaryzykować stwierdzenie, że „Sceny dziecięce z życia prowincji” są swoistą parafrazą — „na tematy polskie” (oczywiście współczesne tematy polskie) — słynnej powieści Stendhala. Czy mają być jej krzywym, groteskowo-satyrycznym odbiciem — nie wiem.

Zygadło wprowadza w swoim filmie polski krajobraz oraz polskie społeczne i polityczne realia. Ale kanwa dramatyczna opowieści jest u niego właściwie ta sama, co w „Czerwonych i czarnych”. U Zygadły syn właściciela dobrze prosperującego prowincjonalnego zakładu stolarskiego (u Stendhala był to nb. tartak), porzucający studia filozoficzne (?), spędza całe dni w domu, zgłębiając, trochę na własną rękę, a trochę przy pomocy swojego byłego profesora gimnazjalnego (dawnego członka KPP), klasyków marksizmu, starając się dojść „całej prawdy” o idei oraz o jej obliczu, gdy posiadła ona już władzę Julian — bo takie jest imię bohatera filmu — po klótni z ojcem, który wyzywa go od „czerwonych pajaków”, porzuca dom. Znajduje zajęcie jako korepetytor syna naczelnika miasta, byłego działacza młodzieżowego, który utknąwszy na prowincji, przeżywa gorzkie „zwichnięcia” do brzozy zapowiadającej się niegdyś kariery politycznej. Julian nawiązuje wkrótce romans ze starszą od siebie żoną naczelnika, panią R. (przejrzysta aluzja do pani de Renal z „Czerwonych i czarnych”), lecz gdy profesor załatwia mu miejsce sekretarza u jednego ze swoich warszawskich przyjaciół, będącego już na emeryturze, wybitnego dawniej działacza politycznego, chłopak bez żalu porzuca kochankę i wyjeżdża do stolicy. Towarzysz M., któremu sekretarzuje i w którego domu zamieszkuje Julian, postać niezwykle, którą można określić mianem historycznej, pracuje nad książką mającą wyjawic „całą prawdę” o

czasach i zakrętach dziejowych, w jakich przyszło mu działać na swoim wysokim stanowisku, Dom towarzysza M. zorganizowany jest na zdrowych „przedwojennych” zasadach; obczerny, nie za bogaty, ale zasobny, z rodzinnymi obiadami, przygotowywanymi przez „pomoc domową”, z kształcącymi się na uniwersytecie dziećmi obracającymi się w gronie rówieśników „z tej samej sfery”, skąd też wywodzą się odpowiedni kandydaci i kandydatki do właściwych mariaży... Wszystko układa się doskonale, dopóki córka towarzysza M., Matylda (koincydencja z Matyldą de la Mole, córką markiza?), nie zakocha się bez pamięci w Julianie. Oraz dopóki, zrozpaczona perspektywą ślubu swojego kochanka, pani R. nie trafi do mieszkania ojca Matyldy, wyjawiając mu „całą prawdę”. Od tego też miejsca wypadki zaczynają się w „Scenach dziecięcych z życia prowincji” toczyć równie lawinowo i dramatycznie dla naszego bohatera, jak w historii Juliana Sorela. Choć, trzeba przyznać, w sposób znacznie mniej dystyngowany. Tylko zakończenie całej sprawy będzie miało zupełnie inną treść i inny wydźwięk niż u Stendhala... Ale o tym za chwilę.

Głównym walorem i — jak należy sądzić — główną ideą filmu Tomasza Zygadły jest przecież nie: „fabularna powtórka” z powieści „Czerwone i czarne”, ale wszystko to, co dotyczy się problemów idei, władzy, polityki. Tych wpisanych zresztą w nasze realia i tych rozumianych w szerszym, ponadpaństwowym wymiarze. Stwierdzenia bohaterów filmu — często jakże gorzkie dyskusje — nierzadko prowadzące donikąd lub utykające na martwym punkcie, wypowiedzi — nieraz pokręte, nawet kłamliwe lub wręcz ośmieszające samego mówiącego — pamiętniki, o których się mówi i dyskutuje, lecz które nigdy nie zostaną napisane, bo... po prostu nie ma o czym pisać, ale także postawy pełne godności i wiary w wyznawane zasady, składają się w „Scenach dziecięcych z życia prowincji”, w tym filmie przecież w ostatecznym wymiarze politycznym, na humanistyczny obraz. Obraz uwikłań, wzlotów i upadków człowieka próbującego powiązać

zasady idei z zasadami władzy, politykę z filozofią, znaleźć jakiś sensowny kompromis pomiędzy sprawami swoich prywatnych uczuć i działaniami, gdzie bardziej potrzebne jest chłodne myślenie i bezwzględne postępowanie.

Wiele miejsca na ekranie zajmuje w „Scenach dziecięcych z życia prowincji” seks. Erotyka — można by zażartować — konkuruje w filmie Zygadły z polityką; pełen rozpiętości go sil życiowych Julian nie tylko zgłębia „pryncypia”; poczynając także ostro i dosadnie z kolejnymi partnerkami. (Notabene całkiem inaczej to wygląda niż w filmowej wersji powieści „Czerwone i czarne” Claude'a Autant-Lara z 1954 r., gdzie Gérard Philipe był tyleż romantycznym, co finezyjnym kochankiem). Ale trzeba zrozumieć reżysera: raz — że czasy i obyczaje się mocno zmieniły, dwa — że ciężar gatunkowy problemów i zagadnień, jakie się porusza i rozważa w tym filmie, trudny byłby do „strawienia” przez widownię, szczególnie tę młodszą, bez odpowiednich „przerwywników”.

Zaś dla tych, którzy ponad sprawy różkowe przedkładają dobre aktorstwo, dodatkowym walorem zresztą pod względem profesjonalnym zrealizowanego filmu (Zygadło jest świetnym dokumentalistą i tutaj potrafił umiejętnie połączyć swoje doświadczenia reżysera filmów dokumentalnych i twórcy filmów fabularnych) będzie wspaniałe skonstruowana postać ojca Matyldy, w którego genialnie wcielił się Henryk Bista. To jedna z jego najciekawszych ról filmowych. Jak już wspomniałem, zakończenie filmu Zygadły jest inne niż w Stendhalowskim pierwowzorze. Nie pada straż z rewolweru wymierzonego w panią R., bo oto zaszła niezwykła okoliczność: wyją syreny fabryczne, jest któryś z późnych dni sierpnia 1980 r. Cały dotychczasowy układ, który tak bardzo absorbował myśli i dążenia Juliana, stanął pod znakiem zapytania. Rozpoczyna się nowa epoka. Czym ona się stanie dla polskiego Juliana? Na ten temat wypadłoby Zygadło nakręcić kolejny film.

M. D.

wał czasem obraży Dylewskiego, ale i taszczył za nim utensylla malarskie, tłumacząc zażenowanemu i uciekającemu od tej pomocy artyście, że mistrz taki powinien unikać obciążania swych rąk wysiłkiem fizycznym, oczywiście tak pospolitym. Albo taka historia: kiedy w Jakubowicach Murawianych odsłaniano w kościele obraz Dylewskiego „Wskrzeszenie Łazarza”, ufundowany przez siostrę doktora Mączki, to na uroczystości przywieziono autora, wraz z dorodną i energiczną żoną Wiktoria, specjalnym samochodem, co nie było wówczas sprawą zwyczajną.

Powiecie: piasek historii. A ja wam odpowiem, że ten skromny człowiek był artystą szczęśliwym — z tego również powodu, że w plenerowych malowaniach towarzyszyła mu żona oraz córka Irena, z którymi, po powrocie do domu pięknie muzykował. Panie grały na fortepianie, on, absolwent konserwatorium warszawskiego, również na tym instrumencie, choć najczęściej na flecie. Sentymentalne? Jasne! no i co z tego?! Zresztą, to tylko otoczka sprawy, której istotą w tym, że twórczość Dylewskiego powstawała w kręgu rodzinnej wspólnoty, a potem w większości trafiała nie do instytucjonalnych anonimów, lecz do konkretnych ludzi, znanych artystów lub jego najbliższym przynajmniej z widzenia — od człowieka do człowieka, jakby poszerzając tę pierwszą, niewielką wspólnotę. A wiedzieć warto, że obrazy Stefana Dylewskiego dofały do wielu domów prywatnych, m. in. Barbary i Wojciecha Jaruzelskich w Warszawie.

IJK

KRONIKA KULTURALNA

■ Nieoczekiwane odkrycie przyniosły prace remontowe w zabytkowym barokowym kościele pod wezwaniem św. Ludwika we Włodawie. Odsłonięto tam XVIII-wieczne polichromie, które pozostawały dotąd ukryte pod znacznie późniejszymi malowidłami. Autor pięknych polichromii pozostaje, jak dotąd, nieznany.

■ Od stycznia br. mamy w województwie nową instytucję upowszechnienia kultury, która jest „Dom Muzyki” w Karczewicach pod Poniatową. Od wielu lat działa tutaj aktywnie Stowarzyszenie Muzyki Dawnej „Musica Antiqua”, w którego ramach istnieją zespoły muzyczne „Scholares Minores pro Musica Antiqua” i chór „Szczygielki”. Powołanie „Domu Muzyki” stworzyło odpowiednie warunki pracy dla dziecięcych zespołów oraz umożliwiło dalsze upowszechnianie muzyki i edukacji muzycznej dzieci i młodzieży. Siedzibą „Domu” będzie zabytkowy pałac w Karczewicach.

■ Pod skrzydłami lubelskiej Filharmonii wyrosło nam 12 zespołów kameralnych — rekord krajowy. Stało się już tradycją, że Lublin organizuje swym zespołom kameralnym mały festiwal konfrontacyjny ich możliwości. Obecny III Festiwal Kameralistów, w dniach 2-14 lutego br., zaprezentował obok zespołów lubelskich także zaproszonych gości.

■ Już po raz dwunasty w tarnogrodzkim domu kultury odbył się Sejmik Wiejskich Zespołów Teatralnych. W ciągu trzech dni, od 5 do 8 lutego, prezentowały swój dorobek zespoły

artystyczne z województw: zamojskiego, lubelskiego, przemyskiego, chełmskiego, radomskiego i rzeszowskiego. Impreza ta, której patronują Towarzystwo Kultury Teatralnej, Wojewódzki Dom Kultury w Zamościu oraz Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Tarnogrodzie, ma nie tylko charakter prezentacji zespołów, ale jest równocześnie okazją do twórczej dyskusji oraz fachowych ocen dokonywanych przez Komisję Artystyczną. Sejmik zainaugurowała Kapela Ludowa z Tarnogrodu oraz bardzo wdzięcznie prezentujący się w widowisku „Zapusty” szkolny zespół teatralny „Figielek” z Laszczowa (woj. zamojskie).

■ W dniach 19-21 lutego br. odbędzie się w Chełmie Ogólnopolskie Spotkania Kabaretów Wiejskich. Wystąpią kabarety: „Zajac i spółka”, „Cep”, „Rzysko”, „Kociuba”, „Zadło”, „Parodia Maxima”, „Do Użytku Służbowego”, „Odgromnik”, „Cieżko Było Będzie Lżej”, „A Jednak”, „Czarny Salceson”. Najlepsze spośród nich wystąpią także we Włodawie, Krasnymstawie, Leśniowicach, Wojsławicach, Sawinie, Woli Siennickiej, Zmudzi, Woli Uhruskiej, Wierzbicy i Hańsku.

(kp)

■ Lekarz, wygnaniec sybirski, jeden ze wskrzesicieli uzdrowiska w Nałeczowie, kolekcjoner dzieł sztuki, pamiątek przeszłości, eksponatów etnograficznych i przyrodniczych, pamiętnikar, współorganizator Muzeum Ziemi Lubelskiej w Nałeczowie, donator Muzeum Lubelskiego oraz Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie, Wacław Lasocki, upamiętniony został wystawą w Muzeum Historii Miasta Lublina w Bramie Krakowskiej.

Godny polecenia zwiedzających jest katalog wystawy autorstwa Grażyny Jakimińskiej.

(d)

Karnawał w dawnym Lublinie

Dokończenie ze str. 12

rystycznych, jako to: arlekinów, krakowiaków, wieśniaczek itp., było dosyć, bo nawet i polanie publiczny się znalazł, słowem — zabawa, bez żadnych przeszkód, przedłużyła się do godz. 5 rano. Dochodu brutto otrzymano rs. 184...”

Pewien wpływ na frekwencję balową miała pogoda która wówczas była bardzo kapryśna: „od kilku dni termometr wznosi się nad 0 — pisała prasa — toteż topnienie śniegu i stopniowa odwilż znów na pewien czas popsuje drogi i utrudni komunikację, dowozu na targ lubelski codziennych produktów, który i tak lubo przy warunkach sanny był bardzo mało znaczący. Nasze miejskie gosposie tłumnie wprawdzie uwijają się po placu targowym, lecz, niestety, najczęściej w próżnym koszykami wracają. [...] Przy takich więc okolicznościach trudno wymagać, aby o wieczorkach karnawałowych i tańczących herbatkach, osobiście w średniej klasie śmiertelników, mógł ktokolwiek marzyć; dlatego cicho, głucho i smutno na naszym wielkim partycularzu, i nie tylko że nie słyhać o ponowieniu zeszlorocznych balów obywatelskich, kupieckich, miejskich, rzemieślniczych i dalszych korporacji, ale nawet odwieczne uprzywilejowane katarzynki umilkły i bronowickie maskarady straciły zwolenników!”

Piąta, ostatnia zapowiedziana maskarada odbyła się 22 stycznia i jak zapewnia sprawozdawca, bawilo się około 300 osób. Wszystko się udało dobrze, ale „zbieranie się tak późno, jak np. po godz. 12, tamuje rozpoczęcie się maskarady, [...] a najgłośniejszą tamą do wczesnego rozpoczęcia się zabawy jest teatr, który zwykle przedstawienia przedłuża do 11, a jak w ostatnią sobotę do godziny wpół do dwunastej! Publiczność zatem będąca w teatrze, albo zniechęconą późną porą wcale nie idzie na maskaradę, lub też potrzebuje dużo czasu do przebrania się; ponadto orkiestra, która grała na maskaradzie, jest przetrzymywana w teatrze...”

Soboty karnawałowe, o ile pogoda dopisała, odznaczały się ożywionym ruchem ulicznym z powodu przyjazdu na bale obywateli ziemskich z rodzinami. Ach, ileż interesów, ileż zabiegów, jakaż masa kłopotów z wynajęciem miejsca w przepelnionych zajazdach i hotelach! Szybko mija styczeń, zbliża się połowa lutego... Odbyły się już wszystkie „najprzedniejsze” maskarady i wieczorki.

Karnawał dogorywa, zapusty i ostatki zakończone. Popielec. Zmienia się w lubelskiej prasie treść reklam i ogłoszeń:

„Obiady postne we środy, piątki i soboty. W Rynku pod n-rem 43. Dorota Fogiel”.

„Stokfisz po kapucyńsku, sandacz po radziwiłowsku, szczupak po żydowsku z kluskami — reklamuje się M. Machnicki, właściciel restauracji przy Krakowskim Przedmieściu 76. — Lin smażony z kapustą, Karaś z sosem Okoń z jajami, Karp na szaro, Węgorz po łatarsku...”

O takich kulinarnych delcjach możemy obecnie tylko sobie pomarzyć, a o ich smaku dowiedzieć się od naszych znanych i kochanych dziadków. Kto wie, czy tak smakowite, chociaż postne w treści ogłoszenie pana Machnickiego nie miało osłodzić ostatnich lublinianom, którzy wygalantowani — z myślą o dobrej zabawie — spieczyli na pożegnanie karnawału „pod Filary” (do sali ratuszowej), ukradkiem zerkając na oświetloną tarczę zegara na Bramie Krakowskiej w ówczesnym 40-tysięcznym Lublinie...

Ludwik Gawroński

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (zastępca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Marta Denys, Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (komentator), Redaktor techniczny — Ewa Jurek Korektor — Barbara Caban

Redakcja nie zwiera materiałów nie zamierzonych zastrzeżenie sobie praw skrótów. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu we wtórki w godz. 14-16.

Druk Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKW w Lublinie ul. Unicka 4.

Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie ul. Jasna 6 tel. 255-30.

Adres redakcji 20-020 Lublin ul. Skłodowskiej 2/1.

Telefony sekretariat redaktor naczelny, redaktor naczelny 255-03 sekretarz redakcji 218-03; dział publicystyki i literacki 275-35.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-050 Lublin, skrytka pocztowa 221, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 140. 3.02.1987 r. 2-4

POZIOMO: A. nauka interesująca się stosunkami jeoanostki z otoczeniem ■ głos kobiecy, C do wy-tarcia po umyciu lub zapieli ■ dążność do zwię-kszania własnej wartości ■ zdrowie i siła ciała, E. potoczna nazwa rozpuszczalnika szybko schnącego ■ dowodził wyprawą Argonautów ■ plakat ■ pid-amerykański; step, F. dźwięk lub kurek ■ było przed plugiem ■ pozioma w omaszowanym statku, G. z nich się robi cynadry ■ piękny rogacz leśny, H. między nocą i dniem ■ zwrot tylko da-nego języka ■ groźna dla kurników, I. czasem prze-jawia się zrzucaniem zębami ■ dom samochodu ■ azotan srebra używany do dezynfekcji ■ element walki zapasniczej, K. wieńczy kolumnę ■ kontro-la prasy ■ stolica kantonu Uri, M. droga dla nar-ciarzy ■ pozbawienie wolności.

PIONOWO: 1. na dworcu PKP lub PKS ■ orga-nizacja mnichów, 2. wzór, cel dążeń, 4. rzymski monarcha ■ więcej niż Ziemia, 5. leżący na drze-wach śnieg, 7. godzina szkolna ■ potoczna nazwa polichlorku winylu uplastycznionego, 8. sierpniowa solenizantka, 9. powieść Dostojewskiego ■ prawda, 10. rozwiązała zabawa, 11. w kościele lub na ter-e nie polowań ■ chińska żaglówka do przewozu to-warów, 13. imię króla Wiśniowieckiego ■ miasto srebrem słynące, 14. kształt, wygląd, 15. wskazują na ziemi i niebie ■ założyciel dynastii w Polsce, 16. ptaki o złodziejskich zdolnościach, 17. ma je każdy nóż ■ chorwacki faszysta, 19. macha ręką-ni i nogami pociągany za sznurek, 20. singel lub long ■ do urwania łba w kolysce, 22. chronią ziarno w kłosie, 23. wielkie jezioro w Afryce ■ płyty szkła lub marmuru.

SZYFR

C-13 H-17 H-11 E-9 I-22 M-19 E-2 F-6
C-18 C-7 H-13 C-10 E-20 A-13 K-21 I-11
A-23 F-19 I-23 C-20 K-7 J-13 A-6 A-19
I-7 J-15 M-23 G-23 E-17 A-9 F-11 I-9
M-7 M-18 I-21 M-11 I-5.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książko- wy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 2 Z SZYFREM

POZIOMO: omikron, strzępy, monolog, Holandia, neurolog, tlen, gąbka, sadz, Chłopi, teleks, plik, karty, kadz, tron, kort, wata, żądło, maść, manele, sytość, stop, listy, loki, pierniki, Perykles, pilność, koleczan, Atlanta.

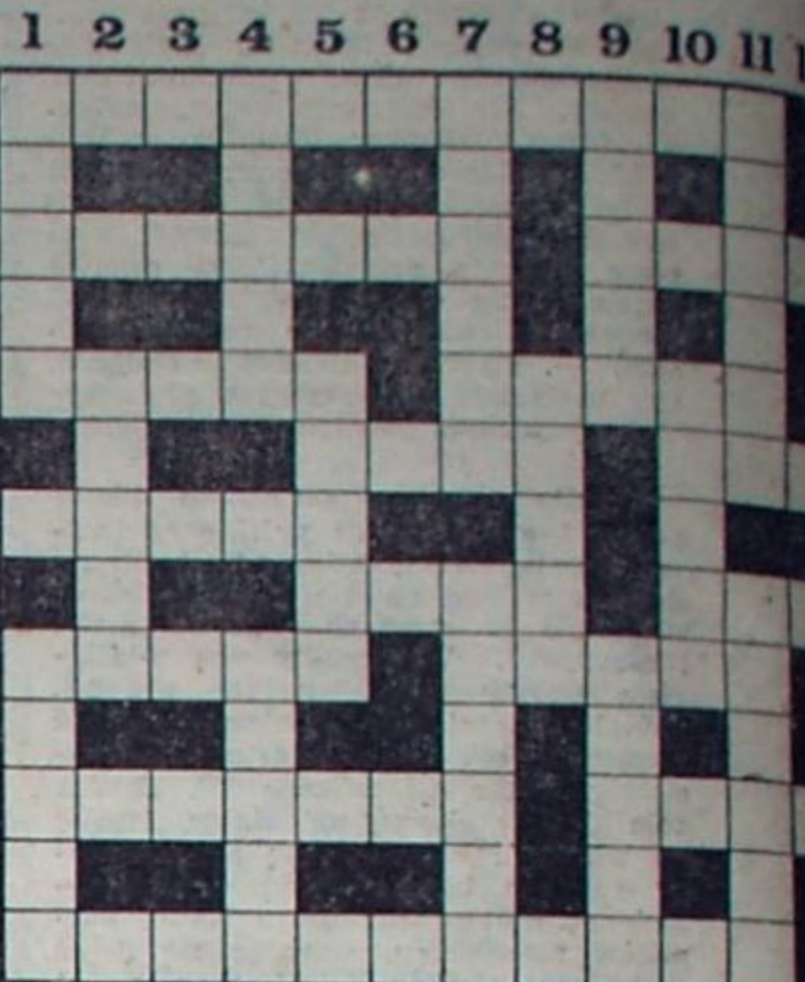
PIONOWO: odstęp, występ, heliotrop, klon, pion, Oka, hurma, ryś, odwodnienie, tragik, żeliwo, ziąb, rad, spec, penaty, osypka, publikatory, oko, karaś, kit, opos, Leda, Galapagos, gwóźdź, ćwikła.

SZYFR

Wolność polega na zasadzie miłości bliźniego, a nie na nihilizmie i nienawiści.

Tomasz Mann
„Czarodziejska góra”

Za prawidłowe rozwiązanie nagrodę wylosował Andrzej Mazur, ul. Kamienna 13 m. 8 22-400 Za- mość.



Karnawał w dawnym Lublinie

Ludwik Gawroński

„Lubo tacy panowie i można szlachta przez cały rok zabawiali się ban- kietami i tańcami, bardzo często sprasząc do siebie gości z rozmaitych okazji, jako to: na święta Bożego Narodzenia, [...] najwięcej jednak tako- wych ochot sprawiali sobie poczęszy od Tłustego Czwartku aż do Wstępnej Srody... — pisał Jędrzej Kitowicz, zna wca obyczajów z okresu panowania Augusta III.

HUCZNIE odbywały się zabawy karnawałowe w XVIII-wiecz- nym Lublinie. I tak na przy- kład w 1780 roku Magistrat wydał konsens niejakiemu Janowi Ja- kubowskiemu na „trzymanie redut i bał maskowych”. Bałe urządzano w kamienicy Krzeszowskiej (róg Rybnej i Grodzkiej) oraz w teatrze, znajdują- cym się w pałacyku Makarewicza przy ulicy Korce (dziś ul. Królewska 1). Do tańca przygrywała kapela Józefa Miklasiewicza, w której pierwsze skrzypce grał Jan Barcicki, kompozy- tor i pedagog.

21 lutego 1794 r. przed sądem ra- dzieckim lubelskim stawiała się „oso- biście Szlachetna Julanna Makarewi- czowa, niegdę Szlachetnego Jana Kan- tego Makarewicza, prezydenta miasta Lublina, małżonka, pozostała wdowa, w obecności niżej podpisanych krew- nych i przyjaciół swoich czyniąca, zdrowa, zeznała i teraz zeznaje, iż ona konsensu przez wszystkie trzy stany miasta Lublina, w roku 1789 dnia 12 miesiąca stycznia, niegdę ś.p. Janowi Makarewiczowi swej uznawającej me- żowi na trzymanie balów maskowych, czyli redut w mieście Lublinie, danego i podpisanego, a w księgach niniej- szych dnia 19 miesiąca i roku tychże oblatowanego, tudzież przywileju JKMości w Warszawie dnia 28 mie- siąca i roku tychże nastąpionego, kon- sens wyż pomieniony na reduty stu- żący potwierdzającego, [...] jako wyżej pod dniem 6 m-ca czerwca podobnie przez stany miasta podpisanego, po- przedniczy konsens Szlachetnemu ś.p. Makarewiczowi nadany, a przywilejem JKMości potwierdzony do osoby tera- niejszej zeznawającej rozciągającego i prawo utrzymania wspomnianych za- baw jej potwierdzającego, zrzeka się na rzecz Szlachetnego Gotfryda Mille- ra, elektora i ekonoma miasta Lubli- na. Jego potomkom i sukcesorom prawnie ustępuje...” (Księgi miasta Lu- blina — Advocatialis, sygn. 138, k. 513 v.). To były czasy. Prezydent prowa- dzący „interes balowy”!

Wkrótce wybuchło Powstanie Ko- ściuszkowskie, które przerwało zabawy na kilka lat; wznowiono je po opu- szczeniu Lublina przez Austriaków w 1809 roku.

W latach dwudziestych XIX wieku „jak wszędzie u nas, tak i w Lublinie — pisze Seweryn Sierpiński w swej monografii o Lublinie — hucznie od- bywają się zapusty. W każdym pra-

wie domu myślą w tym czasie o zaba- wach, aby przed długim uspokojeniem postu nahałać się do woli. Prywatne wieczory z muzyką i tańcami; publiczne bałe na korzyść Dobroczynności,



Rys. Józef Tarłowski

zwyczajne co tydzień, kostiumowe i maskarady w salach kasynowych miej- skich dawane, zajmują wyższą pu- bliczność. Największa liczba osób, na bał publicznym zebranych, przeszło dwieście wynosił. Bilet na bał kosztuje złotych pięć, familijny dziesięć. Bałom tym przewodzą sędziwy i szanowny Wincenty Słotwiński.

Tak Lublin, goniąc stolicę w guście, czułości i zbytkach, pieniądź wnieśli z dalszej okolicę, składa w ludzkości przybytkach.

Wyrzekł to Mikołaj Wilczopolski, członek Lubelskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk [założone w Lublinie w 1818 roku — przyp. L. G.], przesy- lając na wieś spis zabaw karnawało- wych w Lublinie w 1823 roku. Wów- czas — prócz balów amatorów z naj- znaczniejszych w mieście osób zbierał się dla przedstawienia sztuk teatral- nych na dochód Dobroczynności”.

Natomiast tzw. „niższa klasa — pi- sze dalej Sierpiński — zwykłym wszę- dzie obyczajem obchodził zapusty. Za-

zwyczaj powiększają się zebrania w gospodach i szynkach, gdzie huczna muzyka (zwykle żydowska) brzmi cią- głe, a kieliszki, napelniając gardło, wy- próbują kieszonkę rzemieślnika”.

Kilka słów o muzyce. W owym cza- sie działało w Lublinie Towarzystwo Przyjaciół Muzyki, mające orkiestrę pod dyrekcją Michała Serwaczyńskie- go; grał w niej dwaj świetni tręba- cze: Szezeban Piątek i Franciszek Kwiatkowski.

Muzycy, którzy grywali na balach, w szynkach czy karczmach, mieli swoje przepisy, np. „muzyka w dni świą- teczne dozwolona nie może dłużej trwać po szynkach i domach publicz- nych jak od godziny 6 po obiedzie do godziny 9 wieczór; w dni jarmarczne może i powinno być dozwolone gry- wanie muzyce z rana i po południu” (wg rozporządzenia gubernatora lubel- skiego, generała majora Marka Alber- towa, z 3 stycznia 1837 roku).

W połowie XIX wieku lublinianie zabawiali się tzw. „gonieniem mięso- pustu” na wienawie, Rzeźnicy do- starczali mięso i wyprawiali bał, któ- ry przyciągał mnóstwo osób. Ci, którzy na wienawie nie mogli przybyć, po- przestawali na drinku u Ignacego Czerwińskiego (w Rynku pod 23-cim) lub też bawili się w słynnym szynku z bilardem u Pawła Wójcikowskiego przy Krakowskim Przedmieściu 139.

Oto ogłoszenie, zamieszczone w pra- sie lubelskiej z okazji karnawałowego szaleństwa:

„Księgarnia, skład nut muzycznych i map Stanisława Arcta w Lublinie o- trzymała na teraźniejszy karnawał na- stępujące najnowsze tańce na forte- pian: Bilse — Allee-Polka, Silesia- Polka, Chmielewski — Wiercipięta- Mazur, W to mi graj-Mazur, Z szy- kiem-Polka, Eibl — Kulig-Mazur, Strzeżmienny-Mazur, Lewandowski — Pierwsza para-Mazur, Mathilde-Polka, Louise-Polka” („Kurier Lubelski” 1867, nr 15, s. 70).

Dalej tenże „Kurier” (nr 20) infor- muje iż „bał, dany w salonach JW. Je- neralostwa Eggerów w dniu 15 lutego, należał do najpiękniejszych zabaw w bieżącym karnawale. Licznie zebrane towarzystwo podejmowane z nadzwy- czajną gościnnością i wystawnością, odczozy przyjął udział w zabawie, która przeciągnęła się aż do rana. Toa- lety dam były pełne gustu i świet- ności, i przedstawiały niby bukiet, czarujący wdziękiem, elegancją i bo- gactwem”.

Karnawał — żniwo dla setek ludzi przeróżnych branż... Modne, ważne, niespokojnie wyczekiwane i czytane nowiny — spadają jak grad. W pierw- szych dniach stycznia 1876 r. pojawiło się w prasie ogłoszenie nauczyciela tańców, Józefa Szalów:

„Mam honor zawiadomić Szanowną Publiczność, że przybyłem do tutej- szego miasta w celu udzielania naj- nowszych, jako też upowszechnionych tańców salonowych i solowych Lekcje podejmuję się udzielać w domach pry- watnych, pensjach, gimnazjach i do- mach, i w mieszkaniu własnym Osoby interesowane raczą się zgłosić pod nr 77 przy ul. Rybnej, codziennie od go- dziny 4 do 6 po południu”

To nic, że „ruch po handlach win- nych i galanterijnych cokolwiek ustał — pisała „Gazeta Lubelska” — pp. kupcy oczekują nowego zbioru w ostatnich dniach karnawału, obecnie bowiem tylko przy tańczących her- batkach występują na stół uprzywile- jowane zwyczajem paczki, których znaczny kontyngens dostarczają rów- nie uprzywilejowane cukiernie pp. Se- madenich”

W sobotę 8 stycznia 1876 r. w sali klubowej odbyła się trzecia z kolei za- bawa karnawałowa, która udała się „cokolwiek lepiej jak poprzednie — pisała prasa — nie tak wszakże, jak- by należało się spodziewać. Dochodu brutto wpłynęło rs. 139, osób było około 180, mężczyzn stosunkowo mniej aniżeli płci pięknej, toteż w intrygo- waniu było bardzo mało życia a jesz- cze mniej dowcipu; masek charaktery- stycznych prawie żadnych, albowiem do tych nie możemy zaliczyć kominar- za i trzech par krakowskich barwa teatralną nacechowanych. Może też przyszłe maskarady, a będzie ich jesz- cze pięć, znajdują więcej zwolenników, chociażby tylko ze względu na cel do- broczynny”.

Z kolei czwarta maskarada (16 stycz- nia) udała się bardziej, bo „około 300 osób obojej płci zapełniło salę — pisze sprawozdawca — intrygowanie się wzajemne wprawiało maski w nie- ustanny ruch i ożywienie; tańce trwa- ły bez przerwy, kostiumów charakte-